This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.

- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.

- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.

- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich dzialań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 7071.1.810

HARVARD COLLEGE
LIBRARY

BOUGHT FROM THE

AMEY RICHMOND SHELDON
FUND

Kazimierza Brodzińskiego Wspomnienia

Brodziński

862

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO

„WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI"

i inne urywki autobiograficzne

wydał i wstępem opatrzył

PROF. JÓZEF TRETIAK

BIBLJOTEKA POW. KOŁA ZWIĄZKU
INWALIDÓW WOJEN. Rzeczypospol.tej Polskiej
W KRAKOWIE
№ 862

BIBLJOTEKA POW. KOŁA ZWIĄZKU
INWALIDÓW WOJEN. Rzeczypospol.tej Polskiej
W KRAKOWIE
№

W KRAKOWIE
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA
1901.

Slav 7071.1.810

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
MAR 25 1960

W DRUKARNI »CZASU« POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO.

Zwraca się uwagę, aby książek nie brudzić i nie tłuścić, kartek nie załamywać i nic po nich nie pisać. Książek dzieciom nie dawać. Jeżeli kolega udziela książki rodzinie lub osobie dalszej, powinien dbać, aby jej lekkomyślnie nie niszczono.

OD WYDAWCY.

Los, który prześladował Brodzińskiego w dzieciństwie, zaciężył i na wspomnieniach jego z dzieciństwa i czasów szkolnych. Rzecz w istocie trudna do uwierzenia, a jednak prawdziwa: w całej literaturze polskiej niema pomnika autobiograficznego, kreślonego ręką poety, któryby był równie zajmującym, posiadał tyle wdzięku szczerości i prostoty, i tak się nadawał na lekturę powszechną, a przedewszystkiem dla młodzieży, jak owe Wspomnienia, a przecież są one dotychczas nieznane ogółowi i niedostępne dla niego, bo nigdy nie były wydane ani w zbiorach utworów poety, ani w osobnej książeczce! Pisano na ich podstawie życiorysy Brodzińskiego, cytowano obficie, opowiadano treść ich, ale nie wydano ich nigdy w ich własnej, pełnej wdzięku, postaci w taki sposób, żeby się stały własnością ogółu. A przecież jak wielką to było potrzebą, poucza o tem najlepiej świadectwo Hipolita Skimborowicza, który w kilka lat po śmierci Brodzińskiego pisał, iż zdarzyło mu się w kilku domach »nietylko na wsi, ale nawet i w mieście, w tych salonach, gdzie francuzczyzna nie zapomniała jeszcze o swojem władztwie, widzieć *Wspomnienia młodości Brodzińskiego*, przepi-

sywane w kilku egzemplarzach ręką własną matek i córek« [1]).

Pierwszą wiadomość o tych *Wspomnieniach* zawdzięczamy pani Katarzynie Lewockiej, przyjaciółce Brodzińskiego, która wkrótce po śmierci poety (10. października 1835 r.) mając w ręku ich rękopis, zrobiła z nich wyciąg, dodała do tego słów kilka od siebie, a w końcu list, który do niej napisał Odyniec z Drezna zaraz po śmierci poety, ze szczegółami o tej śmierci, i ułożywszy w ten sposób nekrolog, szukała dlań miejsca w jakiem piśmie. Miejsce to znalazło się w wychodzącym w Lesznie *Przyjacielu ludu* [2]).

Redakcya uznała za stosowne poczynić niektóre zmiany i dodatki w tym artykule i nie wskazała wcale z czyjej ręki on pochodzi. Dotknęło to niemile panią Lewocką, która, jak sama powiadała, »chlubiła się w duchu, iż pierwszy u nas rzucony kwiatek (wprawdzie zbyt wątły) na grób śpiewaka o Wiesławie, był rzucony ręką kobiety«, i że tą kobietą ona była. To też jak tylko zdarzyła się sposobność naprawienia złego, nie omieszkała z niej p. Lewocka skorzystać i umieściła ponownie swój artykuł w piśmie, wydawanem przez Skimborowicza w Warszawie p. t. *Piśmiennictwo krajowe*, dodatek do *Gazety porannej*, rok I, oddział II, 1840, nr 45. Do dawniejszego artykułu swego dodała ważny przypisek, prostujący błędne wiadomości o *Wspomnieniach Brodzińskiego*, podane przez redakcyę *Przyjaciela ludu*. Dowiadujemy się z tego przypisku, że Brodziński nie swemu przyjacielowi, jak donosił *Przyjaciel ludu*, ale

---

[1]) »Przegląd naukowy«. Warszawa 1844, tom III, str. 3.

[2]) »Przyjaciel ludu«, 1836, rok III, tom I, str. 141—144.

jedynej swej córce zostawił Wspomnienia swej młodości. »Miałam bowiem — pisała p. Lewocka — użyczony sobie ten szacowny rękopism przez żonę (zmarłą już na teraz) samego Autora. Zaczął go pisać nie przed dziesięciu laty (jak twierdzi redaktor), ale na dwa lata przed śmiercią i doprowadził go aż do roku 1830. A odjeżdżając w 1835 roku do Drezna, skąd niestety! nie miał już powrócić, sam związał starannie wszystkie arkusze tego pisma i własnoręcznie napisał na wierzchu wielkiemi literami: »To zostawiam mojej córce Karolinie« [1]). — Z innego ustępu nekrologu dowiadujemy się, że na rękopisie był własnoręczny napis Brodzińskiego: »Wspomnienia mojej młodości«.

Objaśnienia podane przez panią Lewocką są bardzo ważne, a jako pochodzące od osoby, która była przyjaciółką Brodzińskiego, która miała w ręku własnoręczny rękopis Wspomnień poety, robiła z niego wyciąg, więc i dokładnie go poznać mogła, powinny zasługiwać na zupełną wiarę. A jednak ukrywa się w nich pewna sprzeczność. Podług świadectwa p. Lewockiej Brodziński pisał swoje pamiętniki w roku 1833, a doprowadził je do r. 1830, t. j. do czasu, w którym, jako urodzony w r. 1791, dobiegał już czterdziestki. Jeżeli zatem pamiętnik jego obejmował 39 lat jego życia, jak utrzymywała pani Lewocka, to dlaczego poeta położył na nim napis »Wspomnienia mojej młodości«? Czy młodość swoją przeciągał tak długo i dopiero rok 1830, pełen ważnych i groźnych wypadków, brał za kamień graniczny dla swej młodości? Czy też chciał tym napisem wyrazić, że mu chodziło głównie o czasy młodości, i te obszerniej

[1]) Wspomnienie o Kazimierzu z Królówki. »Piśmiennictwo krajowe«. 1840, tom I, oddział II, nr 45.

przedstawiał, a o późniejszych kolejach swego życia krótką tylko podawał wiadomość? Czy wreszcie napis położony był przed rozpoczęciem pamiętnika i ma świadczyć tylko, że poeta pierwotnie zamyślał jedynie opowiedzieć swą młodość, a potem ponad zamiar pierwotny pamiętnik przeciągnął? Potrafimy sobie zadać te pytania, ale odpowiedzi na nie znaleźć nie potrafimy.

W cztery lata po ogłoszeniu objaśnień, podanych przez p. Lewocką w *Piśmiennictwie krajowem*, pamiętnik Brodzińskiego dostał się do rąk H. Skimborowicza właśnie w czasie, gdy ten zabierał się pisać o zbiorowem wydaniu dzieł Brodzińskiego, świeżo dokonanem przez Dominika Cezarego Chodźkę. Gorący wielbiciel Brodzińskiego, postanowił wydać ten pamiętnik w redagowanym wówczas przez siebie *Przeglądzie naukowym* i w istocie wydał w tomie III (1844 roku), poprzedzając artykułem p. t. »Kazimierz Brodziński, jego własnoręczne pamiętniki, życie i dzieła wydane w Wilnie«. W tym artykule tak pisał: »Dostały się nam kreślone ręką tego sławnego piewcy *Wspomnienia mojej młodości*. Jest to rodzaj pamiętników, sięgających dzieciństwa jego i rzucających wielkie światło na życie poety. Gdyśmy szczegóły o śmierci Brodzińskiego, opisane w liście Antoniego Edwarda Odyńca do pani K. z L. L. (Lewockiej) cztery lata temu w *Piśmiennictwie krajowem* wytłoczyli, mieliśmy także udzielonych i kilka wyjątków ze Wspomnień młodości tego wieszcza, które też jednocześnie zamieszczone u nas były. Otrzymaliśmy teraz więcej tego nieoszacowanego rękopisu i pospieszamy udzielić go czytelnikom naszego pisma« [1]).

[1]) »Przegląd naukowy literaturze, wiedzy i umnictwu poświęcony«, tom III, zbioru ogólnego tom XI. Warszawa 1844, nr 19. str. 2.

Z przytoczonego ustępu, a w szczególności z podkreślonego przezemnie wyrazu więcej, należy wnioskować, że Skimborowicz i tym razem uważał przesłany sobie pamiętnik Brodzińskiego nie za całość *Wspomnień*, że przypuszczał istnienie dalszego ich ciągu. Domysł ten potwierdza inna okoliczność. *Wspomnienia mojej młodości* Brodzińskiego ciągną się przez 5 numerów *Przeglądu naukowego*, od 19—23; w ostatnim numerze, podobnie jak w poprzednich, figuruje zapowiedź dalszego ciągu (d. c. n.), a więc podczas drukowania numeru 23. miał jeszcze widocznie Skimborowicz nadzieję podania czytelnikom ze *Wspomnień* Brodzińskiego coś więcej nad to, co już podał. Więcej jednakże tych *Wspomnień* ani on, ani nikt inny drukiem nie ogłosił.

Wspomnienia Brodzińskiego, znane nam z *Przeglądu*, doprowadzone są tylko do roku 1809, t. j. do chwili, kiedy 18-letni poeta wybierał się pokryjomu do wojska napoleońskiego. Skoro wiemy o twierdzeniu p. Lewockiej, że Brodziński doprowadził był swój pamiętnik do roku 1830, skoro wiemy, że Skimborowicz spodziewał się mieć dalszy ciąg Wspomnień, musimy zatem przypuścić, że to co znamy z pamiętnika Brodzińskiego, jest tylko częścią tego, co on napisał. Przypuszczenie nasze popiera jeszcze i ten wzgląd, że Wspomnienia w *Przeglądzie naukowym* wyglądają zupełnie jak urwane, t. j. końcowy ustęp niema jakiegokolwiek zaokrąglenia, niema nic, coby wskazywało, że poeta na tym ustępie chciał zamknąć swój pamiętnik.

Jeżeli tak jest, jeżeli rzeczywiście *Wspomnienia* Brodzińskiego były daleko dłuższe od tego, co z nich znamy, to jakże należy żałować, że dalszy ciąg ich nie jest nam znany i może jest na zawsze zatracony. Al-

bowiem w tym dalszym ciągu musiały się znajdować rzeczy niezmiernie ciekawe: wrażenia Brodzińskiego, jako uczestnika wielkiej wojny napoleońskiej, pierwsze, trudne początki jego pobytu w Warszawie, stosunki z ówczesnym światem literackim, a może pogląd i na polityczne stosunki współczesne. Wszystko to w oświetleniu tak czystej duszy, tak szlachetnego serca i tak jasnej myśli, jaką miał Brodziński, byłoby dla nas nieocenionym materyałem do lepszego poznania Brodzińskiego i jego epoki.

Dlaczego Skimborowicz nie drukował dalszego ciągu *Wspomnień* Brodzińskiego? Możnaby myśleć, że przyczyną tego był wzgląd na osoby żyjące, o których Brodziński swobodnie się wyrażał, niczem nie krępując swego o nich sądu, a zarazem chęć uszanowania woli autora, który stawiąc na *Wspomnieniach* napis: »Dla mojej córki Karoliny«, zdawał się przeznaczać je dla rodzinnego tylko a nie publicznego użytku. Do takiego przypuszczenia skłania pewien ustęp wspomnianego już artykułu Skimborowicza, poprzedzającego *Wspomnienia* w *Przeglądzie naukowym*. Skimborowicz wysila się tutaj na dowodzenie koniecznej potrzeby ogłoszenia tych *Wspomnień* drukiem i zdaje się walczyć ze skrupułami i uprzedzeniami osób, od których to ogłoszenie zależało. »Czyż najdrobniejsze nawet wypadki z życia takiego piewcy, nie należą do całej powszechności polskiej? czyż nie powinny być wiadome uwielbiającym go ziomkom? Choćby nawet były dla szczegółowych kreślone osób, czyż mimoto nie zajmą żywo ogółu i nie stają się jego własnością? Bezwątpienia należą one do dziejów p śmienności polskiej, a chować je w ukryciu byłoby błe dem niedarowanym, byłoby nawet niemal występkien

z którego pod każdym względem nie łatwo komukolwiek przyszłoby się wytłumaczyć. Nie idzie tu o początek życia, złożonego ze zwyczajnych małostek, powszedniego, co dzień i wszędy dającego się spotykać człowieka. W takim razie nietylko obawa znudzenia naszych czytelników, ale obok tego wzgląd na stosunki rodzinne, na pozostałych krewnych i t. d. niejednegoby w podobnych wstrzymał zamiarach. Ale gdy tu rzecz toczy się o wykrycie, jakim sposobem rozwijał się umysł tego, co miał stanąć na granicy nowej epoki piśmiennictwa narodowego, pod jakiemi wrażeniami budziła się i orzeźwiała czuła dusza niezapomnianego śpiewaka ludu? — jakie środki, pomoce lub zawady działały na jego czyste uczucia? — co było powodem, że owe poezye nieporównane tak zawsze tęskną i sielską miały barwę, a w wielu zwrotach czysto ludowy nosiły odbitek na sobie? — wtedy powtarzamy, wszelkie uwagi, względy, osobistości milczeć powinny. — Wtedy innej uwagi nad oddanie długu ziomkom należnego; innych względów nad pożytek ogółu, innej osobistości nad indywidualność powszechną, krajową, mieć nie możemy... Byłoby to na ostatek podług nas zbrodnią większą niż literacka, trzymać tylko u siebie, lub zataić przed powszechnością rzecz równie drogiej treści«.

Całe to tak gorąco napisane »słówko usprawiedliwienia« wygląda tak, jak gdyby zwrócone było do pewnych, szczególnych osób, które sprzeciwiały się ogłoszeniu *Wspomnień*, a od których to ogłoszenie zależało. A ponieważ dalszy ciąg *Wspomnień*, pomimo tak wynownie przedstawionej potrzeby ich wydania, wcale się ie pojawił, możnaby myśleć, że skrupuły owych osób ie zostały przełamane i w tem widzieć przyczynę, że

Wspomnienia mojej młodości Brodzińskiego znane nam są tylko w ułamku.

Ale jest objaśnienie, pochodzące z późniejszych o wiele czasów, które wcale inaczej tę przyczynę przedstawia. Pani Seweryna Duchińska w swoim szkicu o Kazimierzu Brodzińskim, cytuje parę ustępów z listu pani Lewockiej, pisanego około roku 1885, a jeden z tych ustępów brzmi, jak następuje: »Wybierając się w podróż (Brodziński) zostawił u mnie swoje pamiętniki, poświęcone jedynej córce, siedmioletniej Karolci. Z tych pamiętników umieściłam krótkie wyjątki we wspomnieniu mojem o nieodżałowanym ich autorze. Cenzura ówczesna zabroniła całego artykułu. W kilka lat później drukowany był w *Gazecie codziennej*. A tymczasem wdowa po Brodzińskim zażądała odemnie rękopisu, nie przeczuwając jaki los go spotka. Otóż wkrótce potem nastąpiła rewizya: między wielu papierami zabrano też i pamiętniki. Naczelnik rewizyi (jak mówiono) Storożenko, literat umiejący oceniać piśmiennictwo polskie, przechował rękopism, który później dostał się jego spadkobiercy. Ten mieszka w Kijowie i jak tu utrzymują, przysyła od czasu do czasu dziennikarstwu naszemu urywki z owych drogocennych pamiętników poety« [1]).

Wiadomości podane tu przez panią Lewocką, nasuwają pewne wątpliwości, bo nie wszystko w tem objaśnieniu jest jasne. Naprzód jest pewna niezgodność pomiędzy oświadczeniem pani Lewockiej z roku 1840, że rękopis *Wspomnień* miała sobie użyczony przez żonę Brodzińskiego, a oświadczeniem z roku 1885, podług którego sam Brodziński miał u niej rękopis zostawić

[1]) »Kazimierz Brodziński«, odczyt publiczny w Paryżu przez Sewerynę Duchińską. — Paryż 1885, strona 55.

i trzeba przypuścić, że przy tem drugiem oświadczeniu musiała pamięć zawodzić sędziwą przyjaciółkę poety. Powtóre wiadomość końcowa ma charakter jakiejś niepewnej pogłoski. O jakichże to urywkach i o jakich dziennikach jest mowa i kto to utrzymuje, że urywki owe pochodzą od spadkobiercy Storożenki? Zwracam uwagę, że i w artykule F. S. Dmóchowskiego: »O życiu i pismach Kazimierza Brodzińskiego«[1]) jest podobna wiadomość, że »ułomek »*Wspomnień młodości Brodzińskiego*« powiększony został kilkoma wynalezionymi kartkami«, ale tu przynajmniej możemy się domyślać, o jakich kartkach mowa: są to prawdopodobnie »Urywki z dziennika wojskowego Kazimierza Brodzińskiego«, pochodzące z roku 1813, a drukowane w X tomie zbiorowego wydania wileńskiego z roku 1844.

Tak więc historya *Wspomnień młodości Brodzińskiego* ciągle jest mgłą niepewności pokryta. Napewne o ich losach późniejszych wiemy tylko tyle, że część ich, wydrukowana w *Przeglądzie naukowym* w roku 1844, przedrukowaną została niebawem (1844—1845) w *Orędowniku*, i że potem nikt jej już nigdy nie przedrukowywał[2]).

W roku 1872 zaczęło wychodzić w Poznaniu nowe wydanie Pism Kazimierza Brodzińskiego, które się głosiło »zupełnem, poprawnem i dopełnionem z nieogłoszonych rękopismów«. Wydawcą był Józef Kraszewski, któremu wiele materyału dostarczył Fr. Salezy Dmóchowski. W przedmowie do I tomu wydawca, oceniając

---

[1]) Biblioteka Warszawska. 1870, tom III, strona 227.

[2]) Dmóchowski podał tylko mały wyjątek w swojej pracy o Brodzińskim (Biblioteka Warsz., 1870, t. III, str. 227), słusznie też nazwał już wówczas ten wyjątek »prawie nieznanym teraźniejszemu pokoleniu«.

dawniejsze wydanie dzieł Brodzińskiego (przez D. C. Chodźkę), utrzymywał, że »uniewinnić niepodobna lekceważenia, z jakiem praca ta wykonaną została«, ubolewał, że nawet »drukowane już rzeczy pominięto« i sądził w ogóle, że wydanie to »było bolesnym zawodem« dla wielbicieli Brodzińskiego. Przedmowa taka pozwalała spodziewać się, że nowy wydawca nie popełni błędów wytykanych dawniejszemu, że więc nie omieszka i *Wspomnień* Brodzińskiego, przed dwudziestu kilku laty już drukowanych w *Przeglądzie naukowym* i *Orędowniku*, wprowadzić do zbiorowego wydania i w ten sposób uczynić przystępnemi dla ogółu. Ale nowe wydanie wbrew sądom i zapowiedziom, zawartym w przedmowie i wbrew powadze firmy wydawniczej, okazało szczytem lekceważenia wszelkich wymagań wydawniczych. Dość powiedzieć, że podało dwa razy (w tom VI. i VIII.) jednę i tę samą rozprawę Brodzińskiego (O egzaltacyi i entuzyazmie), że podsunęło Brodzińskiemu rozprawę Wężyka »O poezyi w ogólności«, a o wielu bardzo ważnych utworach Brodzińskiego, już przedtem drukowanych, między innemi o »Wspomnieniach mojej młodości«, zapomniało. Autor najobszerniejszej pracy o Brodzińskim, po rosyjsku napisanej, a opartej na bardzo obfitym, skrzętnie zgromadzonym materyale, p. Arabażin, utrzymuje, że pominiętych przez Kraszewskiego pism autora »Wiesława« starczyłoby na zapełnienie wielkiego tomu *in 4-to* i słuszne wyraża pragnienie, aby ktoś uzupełnił poznańskie wydanie Brodzińskiego [1]).

Zanim to się kiedyś stanie, obecnie czynię zadość potrzebie, odczuwanej już od pół wieku przeszło, to jest

[1]) »Kazimir Brodzinskij i jewo litieraturnaja diejatielnost'«. — Kijów 1891, strona XV.

wydaję zagrzebane w dawnych czasopismach i jak przed trzydziestu laty, wedle świadectwa Dmóchowskiego, tak i dziś nieznane czytającej publiczności polskiej *Wspomnienia mojej młodości* Brodzińskiego. Do tych Wspomnień dołączam niektóre pisma Brodzińskiego pokrewnej, to jest autobiograficznej treści, a mianowicie: *Urywki z dziennika wojskowego Kazimierza Brodzińskiego w roku 1813 przez niego samego pisanego*, podane w X. tomie wydania wileńskiego (str. 276—290) i urzędową autobiografię Brodzińskiego, napisaną w roku 1823 na żądanie komisyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Przechowanie *Urywków*, zawdzięczamy bratu żony Brodzińskiego, Holly'emu, który je z luźnych kartek przepisał i dopiskami opatrzył. Urzędowa autobiografia Brodzińskiego znajduje się w archiwum przy kancelaryi kuratora szkół okręgu warszawskiego, w manuskrypcie, który nosi tytuł: *Opis biegu życia profesorów i nauczycieli szkół publicznych w Królestwie polskiem. Lit. B.*, a wydrukowaną została z mnóstwem widocznych błędów drukarskich jako dodatek do rosyjskiej monografii o Brodzińskim p. Arabażina. W polskiem wydawnictwie pojawia się tu po raz pierwszy, naturalnie oczyszczona z błędów typograficznych, które ją szpeciły.

Józef Tretiak.

Wspomnienia mojej młodości

Urodziłem się roku 1791 z ojca Jacka, z matki Franciszki Radzikowskiej. Od urodzenia tak byłem szczupły i słabowity, iż doktor przepowiedział rodzicom, że więcej nad tydzień na tej ziemi bawić nie mogę. Umarł on w parę tygodni po tej wróżbie, a pamiętam iż dziecku jeszcze, pokazywano mi grób jego, po którym w zemście za tę wyrocznię skakałem. Jak później od ciotek i służących słyszałem, nie byłem od matki lubiony, szczególnie dla mojej słabowitej postaci, i najwięcej wrodzonej staranności wiejskich kobiet winien jestem moje dziecinne wychowanie.

Ojciec mój był naprzód plenipotentem starosty Fryderyka Moszyńskiego, w starostwie Lipnickiem, a później dzierżawcą tychże dóbr. Do śmierci mojej matki mieszkał w Krakowskiem, wsi tegoż starostwa, gdzie się urodziłem. Miejsce to, które się dziś milej nad wszystkie przedstawia mojej pamięci, jest istotnie piękne ze swojego położenia. Dwór staroświecki z narożnikami i z ogrodem w jak najprościejszych szpalerach. Po jednej stronie staw obszerny, w około którego rozległe trawniki rzędami lip wysadzone; za niemi góry ozdobione rozrzuconemi chatami, drzewami owocowemi wszelkiego rodzaju, a najwięcej zasadzone chmielem, który umajając gęsto sadzone tyki, całej okolicy postać winnicy nadawał. Na wschód łąka w nizinie, często wodą zalewana, przez którą długie ławki do prostego wiejskiego kościółka prowadziły. Kościółek ten stary, drewniany, otoczony

cmentarzem i lipami, oddalony od wsi, na wzgórku, miał postać dziwnie malowniczą.

Dziecinną moją zabawą było najwięcej nabożeństwo. Mieliśmy w jednej wielkiej i pustej sali ołtarz wzięty umyślnie do tego ze zburzonego w sąsiedztwie kościoła; najstarszy brat mój, Andrzej, jedyny rodziców kochanek, był zawsze celebrującym, my mniejsi, szczęśliwi żeśmy za nim z dzwonkami chodzili. W dniach oznaczonych naśladowaliśmy wszelkie uroczystości kościelne; dzieci wiejskie składały naszą osobną parafię, a święto Bożego Ciała, Znalezienie św. Krzyża, obchodzone było procesyą najuroczystszą w kapach ze złotego papieru i t. d. Aż przez emulacyę o pierwszeństwo w procesyi, starszy odemnie brat, w rzeczkę wtrącony został, poczem nie mieliśmy w naszych obrzędach tyle wolności.

Matki mojej wcale nie pamiętam; miałem lat pięć, gdy mnie odumarła. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich najżywiej pamiętam, jest pogrzeb mojej matki. Jej postać w trumnie aż do ubioru, do katafalku, na którym złożoną była, i do pieśni, które ubodzy nad jej ciałem przez dwa dni śpiewali, pamiętam jakby zdarzenie wczorajsze: równie jak przepowiednię księdza, który wtenczas do nas powiedział: Dzieci! będzie was biła macocha. Ksiądz ten w tydzień po mojej matce umarł. W późniejszych latach służące i kobiety wiejskie, wiele mi o dobroci matki opowiadały, co najwięcej słuchać lubiłem, i im jedynie winienem to przywiązanie do niej, z którą, zdaje mi się dotąd, że żyję. W najsmutniejszych wypadkach późniejszej młodości mojej, zawsze się do niej, jako do patronki modliłem; jej postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi smutne i pełne uszanowania czyni wrażenie.

Po długiej chorobie zaczęła być zdrowszą, a na jej imieniny zjechali się dość liczni sąsiedzi, by jej ozdrowienia winszować; była wesołą i trudniła się wygodą

gości, a w wieczór na godzinę tylko oddaliwszy się do łóżka, w dzień imienin swoich umarła. Miałem jeden sen o niej, który na długo żywem uczuciem mię przejął. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze w jakim w trumnie złożoną była, wśród tłumu podobnych jej bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a równie jej uściski jak niewiast, które ją otaczały, dziwną mnie upoiły rozkoszą, gdy nagle ogromny głos od ołtarza *Requiescat in pace*, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył. W dziecinnym bardzo wieku napisałem elegię do cieniów mojej matki, której wcale nie znałem; wiem że ją płacząc pisałem i w nocy na oknie, tylko przy świetle księżyca. Brat mój Andrzej zawsze mi to pismo moje wychwalał.

Nie wiem czy kto, choćby najtkliwszej miłości macierzyńskiej doznawał, mocniej czuł nademnie, co to jest matka? Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętem nazwiskiem. Widok moich współuczniów, a później młodzieńców przy matkach, napełniał mię rzewnem uczuciem. Nie mogłem utulić się ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nietylko dla matek, ale i dla współuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakiś dziwny rodzaj uszanowania. Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakieś wyższe, do szczęścia przeznaczone istoty; kochałem ich więcej dlatego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nieznanych łez mnie kosztowało, gdym widział dzieci od matki pocałowane. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale go pojmie ten, kto lat dojrzałych doszedłszy, nie znał, co to jest uścisk rodzicielski! Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość kogoś, ale do późnych lat żadnej nie doświadczyłem.

Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przez którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z onemi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, to jest, co nam najwięcej nadaje owo czucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziej niebaczność na swoje postępowanie od drobnych nałogów, marzeń i przykładów zacząwszy. Do dziś dnia czuję to w sobie, i gdybym jeszcze znalazł taką istotę, ręczę, że spowiadałbym jej się jak dziecię ze wszystkiego, we wszystkiem byłbym jej posłuszny. Do dziś dnia nie czuję w tym względzie żadnej męskiej wyższości, i dojrzałego wieku, każda kobieta tytułem matki ozdobna, ma odemnie jakąś cześć miłości synowskiej. Zdaje mi się, że jest potrzebą człowieka żeby kochał swą matkę, że kto jej nie ma, upatruje ją wszędzie i we wszystkiem chce ją sobie nagradzać. Do znanej matki tęsknimy w całem życiu, jak do ziemi, na której się nasze życie rozwijać zaczęło; o nieznanej marzymy, jak o raju lub o świecie obiecanym, a nagradzamy ją sobie, tworząc w myśli jak najdoskonalsze wyobrażenie. Nie miałem matki; dla niej czułem dług wyższej nad wszystko miłości.

Po śmierci matki, ojciec mój przeniósł pomieszkanie do Lipnicy Murowanej, o milę od Królówki. Duże gospodarstwo i pięcioro drobnych dzieci, zniewoliły go aż w sędziwym wieku szukać powtórnej małżonki. Wkrótce nieszczęściem ją znalazł. Gdy na miejsce plebana w Królówce, który wraz prawie z moją matką umarł, wielu się starało, jeden z nich najskuteczniej dopiął celu swojego, rając mojemu ojcu panienkę ładną acz ubogą na żonę. — Panienka się spodobała, ojciec dostał żonę — my macochę, a ksiądz plebanią, i na tem wyszedł n :- równie lepiej. — Anna Fichhauzern była najuboż: ą z licznej i dość majętnej familii w Galicyi. Młoda i b .- netka, skromna i pokorna z początku, stała się w: t

pysznym aniołem i cały dom w piekło zmieniła. Nie mogę, i niktby mi zapewne nie uwierzył, gdybym opisał wszystko, do czego kobieta ze starym i z natury powolnym mężem dojść może. W przeciągu kilkunastu lat stała się postrachem, nietylko domu, ale całej wsi i okólnych sąsiadów. Pijaństwo obok najgwałtowniejszych passyj; brak wszelkiej znajomości świata obok wielomowności; chciwość robienia majątku niegodziwymi sposoby, obok chęci okazałości, duma na swój ród, od którego była nienawidzoną, były to jeszcze lekkie jej niedoskonałości.

Mój ojciec powolny, skąpy, ale jak najmniej gospodarny, ceniący spokojność, choćby z ofiarą wszelkiego dobra, w domu nic nie znaczący, łagodny i względny dla każdego, a z natury najcierpliwszy, gorszą niż Sokrates szkołę tej cnoty przebył u swojej Ksantypy. Ona umiała wszelką intratę z dóbr na swoją tylko korzyść obracać, i z majątku męża osobny zbierać dla siebie: procesa z gromadą, z plebanem, z sąsiady, z każdym, o kogo można było zahaczyć, prowadziła najzapamiętalej. Dom stawał się zbiorem owych nikczemnych dawnych czasów prawników, którzy ją tyle swojej sztuki wyuczyli, że ich znowu w łapki prawnicze chwytała. — Peryody jej wściekłości, które często nadchodziły, wystawiały obraz furyi piekielnej; nikt wtedy, winny czy niewinny, gość czy parobek, dzieci czy mąż, w żadnym zakątku domu nie był bezpiecznym. Umiała równie głosem jak razami zagłuszyć. Sędziwy ojciec uchodził wtenczas w pole, śpiewając łacińskie psalmy, myśmy się pod niego tulili. Kryzys takową zakończało powszechnie bolenie serca, i pleura, w której krzyk na całą wieś się rozlegał. — Plagi, bicie wieśniaków i służących, rzucanie sprzętów za ojcem, pakowanie rzeczy do pojazdów, w celu porzucenia niby na zawsze ojca, lub najmniej przenoszenie jej pościeli od łoża małżeńskiego, były to wykłe dzienne i wieczorne zabawy.

Łatwo sobie wystawić jakie wychowanie ta druga matka mogła dać swoim pasierbom. Siostrę moją najstarszą wysłał ojciec do krewnych, my czterej mali chłopcy musieliśmy w domu pozostać. Mało znaliśmy, co to jest być w pokoju rodziców. Izba czeladnia i chaty wieśniacze to był najczęstszy nasz pobyt. Chorując na chrosty, leżeliśmy wszyscy w małej izdebce kuchennej, i nikt ze służących bywających w pokoju nie mógł się do nas przybliżyć, aby nie zarazić siostry z powtórnej żony. Umarł starszy mój brat, my wyzdrowieliśmy staraniem wieśniaczek, które żaląc się sierot, same przybywały nas ratować i opatrywać. W ubogiej historyi życia jak moje, zasługuje na wspomnienie jedna z najpoczciwszych kobiet, którą tylko pod nazwiskiem Róży pamiętam. Jakżebym rad lepiej ją nagrodzić! Była to stara kobieta, wieśniaczka, można powiedzieć nasza jedyna matka, która za życia matki wszystkich nas wypiastowała. Ta znosiła od macochy mojej tysiączne łajania, kułaki i służbę najprzykrzejszą, jedynie z przywiązania do nas, gdy, jak mówiła, matka ją w chorobie prosiła, aby nad nami miała opiekę. Czyniła ona wszystko nad swój stan i rozum. Pokój cieniom twoim, zacna kobieto, godna czci u zacnych ludzi! Ona w ukryciu zastępowała nam matkę, jej jedynie winienem, co wiem o niej, gdyż to była jej najmilsza z nami rozmowa.

Cierpiałem wszelkiego rodzaju niegodziwości macochy, i nie znałem prawie, co to jest mówić z ojcem, gdyż chociaż nie surowy, ale zawsze był mało mówiący i daleki od dzieci; nie miałem żadnego bliższego dozoru, gdyż nadto byłem w wychowaniu zaniedbany, abym się do kogoś ośmielił lub stał się powabnym; byłem, mogę powiedzieć, dzieckiem natury do jedenastego roku. Przecież, jeżeli wspomnienie chwil tego wieku jest każdemu przyjemne, dla mnie jest najmilsze. Zostawiony zupełnie sobie samemu w wieku, w którym ta wolność mnie

szkodzi, używałem świata w prawdziwem tego słowa znaczeniu, świata jaki mnie otaczał. Wtenczas o niczem lepszem nie wiedziałem, i dlatego zdaje mi się, że potem nigdy nic lepszego nie użyłem. — Używałem życia wiejskiego w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Byłem wolny w używaniu mego czasu, gdyż prawie nikt nie pamiętał o mnie, a cenę tej wolności znałem, gdyż ona była skutkiem i ucieczką od srogości macochy. Jakkolwiekbądź, muszę ci tę sielankę mojego życia opisać. Miała ona wielki wpływ na mój los i na mój charakter.

Lipnica Murowana, jak wszystkie okolice w górach, ma nader piękne położenie. Dworek, w którym ojciec mój mieszkał, leżał w dolinie otoczonej rzeką niewielką, która z góry spadając, za każdym deszczem wzbierała, a po kamienistem łożu z podnóża gór i skał płynąc, szum wielki wydawała. Chaty, rozrzucone na górach między sadami, czarujący w jesień dawały widok; ku wschodowi od dworku była za podwórzem i stawem rozległa łąka, na której mała krynica zarośnięta krzewem i wzniosłemi ziołami różnej barwy, była siedliskiem ptactwa i motylów. Młyn wodny za tą łąką napełniał łoskotem tę cichą dolinę, a rozległe za nim trawniki rzędami wierzb wysadzone, napełniały się mnóstwem dzieci wiejskich, których piszczałki i śpiewanie rozweselały powabną ciszę owego miejsca. Pobok rozciągały się pasma gór coraz wyższych, a w pogodny ranek wzniesione ku niebu Karpaty zdawały się być granicą ziemi. Droga grzbietem gór idąca, piękny czyniła widok przeciągających wozów. Za polami piękny las jodłowy, który się w nizinie gubił. Po drugiej stronie dworu dwa dęby nadzwyczajnej wielkości panowały całej osadzie. O kilkanaście staj widać na wzniesieniu miasteczko Murowaną Lipnicę z trzema starożytnemi kościołami, ku któremu droga wierzbami wysadzona i ścieżka przez piękną łąkę i cmentarz idąca.

Widok tego miasta miał dla mnie zawsze jakąś odrazę. Była tam szkółka elementarna, do którejśmy z bratem uczęszczać musieli. Ulewy, zaspy śniegu nie mogły nas od przykrej podróży uchronić; w zimie była to wyprawa na cały dzień z kawałkiem chleba, w którego środek włożono kawałek masła. Nie znam straszniejszego nauczyciela nad tego, któregośmy mieli: miał włosy pudrowane, wystrzyżone zupełnie z przodu, ogromny warkocz i długie fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co przy spiczastem czole szczególną figurę czyniło, i różniło tego człowieka od wszystkich ludzi, jakich widziałem. Długa wyszywana kamizelka i surdut z klapami po kostki u boku, a od ogromnego warkocza cały w tyle zbielony, przy powolnym i pedanckim chodzie, jednał mu od nas dziwne uszanowanie. Ogromne oczy i wargi niezmiernie wypukłe panowały przecież nad nosem szerokim. Żona jego mogła być śmierci wyobrażeniem; nosiła zawsze białą suknię ze stanem jak najdłuższym, który jej cienką figurę dziwnie wydatną czynił. Okropny był widok, gdy często w dzień pogodny na progu siedząc, obcinała brzezinę, a długie rózgi w cebrzyk wodą napełniony składała. Tę brzezinę sam pan profesor zwykł był ze spaceru przynosić. Brzezina była u niego najważniejszym punktem pedagogiki.

Umeblowanie szkoły miało widok okropny. W środku wisiał wielki drewniany krucyfiks; za ręce i za nogi Chrystusa i na gwoździach zatknięte były świeże rózgi, kilka prętów i dyscyplina. Był to wizerunek szkolnej pasyi. Pan profesor wszedłszy do szkoły, zawsze z groźną miną wprzód do owego składu rózg przystępował; wprawne próbowanie rózg wydawało świst przerażający, poczem uzbrojony tem berłem, zaczynał z nami modlitwę; można się domyślać, że takowa modlitwa z największą odbywała się skruchą i z prośbą o oddalenie niebezpieczeństwa. Pan profesor miał często dziwny u-

mor do bicia dzieci; bicie rózgą w rękę za każde zajęknięcie, za każdą myłkę w pisaniu, były wiernie każdemu wyrachowane. Pokładanie na środku zabierało dużo nudnego czasu, kara ta chłopca odbywała się w obecności płci obojej, dziewczęta prowadzone były do osobnej komórki. Pan profesor, będąc razem pisarzem magistratu, często w czasie lekcyi był odrywany; był to czas najwyższej swawoli bez różnicy płci obojej. Młodzież składała się z miejskich i wiejskich dzieci. Partya mieszczan była najgorsza i najsilniejsza; wiejskie dzieci musiały być skromne, a my najwięcej, gdyż nas jako szlachciców prześladowano.

Dniem najokropniejszym była zawsze sobota. Na ten dzień przeznaczonym był zawsze katechizm dawany po niemiecku, w którym ani treści rzeczy, ani języka nie rozumieliśmy wcale. Mało kto był, często nikt, żeby za katechizm chłosty ujść zdołał. Trwoga i cichość i roztargnienie, jakie w ten dzień panowały, trudno opisać. Każdy zapytany po pierwszem zająknieniu występował na środek klęczeć, a tak całe ławki się wypróżniły; wszystko klęczało czekając w największej trwodze ostatniego, który ma być na to miejsce egzekucyi wskazanym; poczem nastąpił generalny płacz i prośby, wśród których każdy podług wieku odbierał przeznaczoną mu ilość. Zamykano wtenczas okno, płakać głośno broniono, gdyż często zdarzało się, że matki, przechodzące lub blisko mieszkające, tę egzekucyę mięszały.

W tej kochanej szkole przez 3 lub 4 lata będąc, prócz pisać i nieco czytać po polsku i po niemiecku, nic więcej się nie nauczyłem. Należąc do partyi chłopców wiejskich, zabrałem z niektórymi prawdziwą przyjaźń, i im winienem szczęśliwe wiejskie zabawy. Co to za rozkosz była, po ukończonej szkole puścić się z nimi mi dzy góry i sady, dostać się po kilkogodzinnym głodzi i nudach na drzewo wiśniami lub gruszkami cię-

żące, pojeździć na onych maleńkich konikach, prowadzonych na paszę na dalekie dąbrowy, kąpać się (idąc) do lasu bosą nogą środkiem piaszczystej krynicy. W tych najmilszych zabawach z prostymi wieśniakami byłem najszczęśliwszy. W domu nikt się o mnie nie troszczył i nie miano mi też za złe, choć się najdłużej zabawiłem.

Życie takowe zrobiło mnie nieśmiałym do ludzi wyższego stanu nad wieśniaków, ale wiele mu dobrego winienem. Ono rzeźwiło moje słabe z urodzenia zdrowie, przez nie nabrałem przywiązania do cnotliwych naszych rolników. Z jakąż rozkoszą przypominam sobie te chwile, gdy te chłopcy nauczały mnie konia dosiadać, iść za broną i umieć konia na inny zagon nawracać. Podczas mglistej jesieni trawiłem często późne wieczory przy kopaniu kartofli, lub przy pasterzach, gdy przy ognisku piekąc kartofle bajki opowiadano, które naówczas składały dla mnie jedyną literaturę i dziś może wdzięki by miały, gdybym je równie słyszał opowiadane. Przez zabranie szczególnej przyjaźni z synem jednego garncarza, nabrałem wiele chęci do tego rzemiosła; dozwolono mi często tej zabawy, a cnotliwy wieśniak, ojciec mojego kolegi, widząc we mnie niepospolitą ochotę i zdolność, troskliwie mnie do swojego stanu zachęcał, mówiąc: iż lepiej swobodnie pracować, niż być sierotą u macochy, która mię dziś zupełnie zaniedbuje a po śmierci ojca z domu wypędzi.

Wieśniacy tych okolic, obok naturalnego rozumu i dobroci, więcej mają oświecenia, są porządniejsi i trzeźwiejsi niż w innych prowincyach Polski. W górach mniej znają nieszczęścia wojny, nie doznają kwaterunków niszczących moralność i prostotę obyczajów; handel fruktami, chmielem i płótnem, a najwięcej czynszowe ty ko opłacanie gruntu, czyni ich zamożnymi, tak że majętn ym liczą do kilkunastu tysięcy złotych. Ojciec mój m ało zasiewał gruntu, ubogim wyrobnikom i oddalonym ze

służby żołnierzom przeznaczał pole na swoim wójtostwie i chaty z małemi bardzo obowiązkami. Wdzięczność tych ludzi i przywiązanie ich do ojca i do nas były bez granic. Żadna wieśniaczka ani chłop nie przyszedł do domu, żeby nam tajemnie przed macochą owoców lub kukiełek z jarmarku nie przyniósł. Żniwiarki pieściły nas i obsypywały jabłkami. Dla sierot i dzieci opuszczonych w tem wielkie jest szczęście, że interes innych osób wzbudzają. Ta opieka i troskliwość, acz prostych ludzi, budziła we mnie chęć podobania się każdemu, być zawsze uprzedzającym i wdzięcznym, a nawet próżność, żeby przez swój los wzbudzić na siebie uwagę i być jej godnym.

W lecie była naszem mieszkaniem stodoła; obok mieszkał staruszek ze swoją żoną, zwany gospodarzem, do którego grunta dworskie i wszelkie gospodarstwo należało. Mała ich izdebka była naszem zwykłem zimowem mieszkaniem. Ciepła izdebka, zawsze na kominie palący się ogień, przy którym ci staruszkowie siedzieli, stawiają dziś w moich oczach mieszkanie Filemona i Baucis. On był starym żołnierzem, ona kobietą, która sługiwała po dworach. Przyjemne to były wieczory, kiedy przy pieczeniu kartofli opowiadał o krajach włoskich i francuskich, w których biały chleb jadał i wino pijał, a ona rozwijała niewyczerpany zapas różnych powieści i tak zwanych gadek. Temu człowiekowi winienem, iż dotąd czułem zawsze tęsknotę do ziemi nieznanej, do podróży, której biedny stan mój wiele dodawał ochoty.

Jedna zima, której wieczory na podobnych trawiłem rozmowach, nabawiła mnie pierwszy raz w życiu owej prawdziwej niespokojności i tęsknoty, której podobno każdy człowiek mniej lub więcej doznaje. Opowiadania o pięknych krajach Włoch i Francyi w tym spc obie, jak je mógł prosty żołnierz uważać i opisać,

napełniło dziwnemi marzeniami mą duszę. Żona jego niemniej obudzała we mnie niespokojność, opisując różne zdarzenia przy dworach panów polskich: jak to młodzi ludzie i ubodzy odbierają od nich wychowanie, jak paradują, na koniach jeżdżą, jak dalekie podróże odbywają z panami, i tym podobne. Wszystko to było przypomnieniem obyczajów, które się już zmieniły, ale ja myślałem że ten świat za górami tak jest szczęśliwy, jak mi go opisywano, i jak go sobie w niewinnej duszy wystawiałem. Życie moje przy macosze od wszystkich znienawidzonej, przy ojcu, który mało co o mnie wiedział, tem bardziej tę moją chęć do szukania szczęścia u świata zwiększało.

Zdaje mi się, iż gdybym był wtenczas Odyseę lub przynajmniej Telemaka czytał, nicby mię nie było mogło wstrzymać; w mej tęsknocie stałem się odtąd smutnym i zamyślonym, i to były pierwsze błogie łzy moje, których boleść z rozkoszą złączona jest urojoną. Szczęściem, że wtedy żadnych książek prócz szkolnych nie miałem, że całą krainą mojej imaginacyi były tylko powieści wieśniacze, które do mojej tęsknoty dużo się przyczyniły, nie mogły mnie jednakże całkowicie obłąkać. Im się bliżej ku wiośnie miało, tem więcej mój umysł był niespokojny. Nakoniec z młodym bratem zaczęliśmy układać projekt tajemnego wybrania się z domu, i puszczenia się w świat na Bożą Opatrzność. Wszystkie dwory i zamki, o jakich słyszałem, jakie sobie w wyobraźni tworzyłem, stały mi przed oczyma we dnie i w nocy. Często wdarłszy się na dąb lub dach folwarku, dumałem o szerokim świecie i przeglądałem widnokrąg, jak daleko go okiem zasięgnąć zdołałem. Codzień nabierając chęci do wykonania zrobionego planu, czuliśmy jednak potrzebę zwierzenia się komuś, za mentora więc naszego obraliśmy starego gospodarza, jemuśmy wszystko opowiedzieli. Człowiek ten po-

sty pochwalił prawie nasz zamiar, jeszcze nas więcej do niego zachęcał, a tak nic nam już więcej nie zbywało. Namienił jednak konieczną potrzebę pieniędzy, podał nakoniec środek ich nabycia, który, dla osiągnięcia skutku naszych życzeń, nie był dla nas okropnym. Ojciec, odbierając co kwartał raty czynszowe, składał w osobny kufer trzygroszniaki węgierskie z obrazem Maryi na jednej stronie. Było tej miedzi do pół kufra, który stał w osobnym niezamieszkałym pokoju, a my znosiliśmy do niego opałeczki uzbieranej miedzi. Gospodarz uczynił nam uwagę, iż te pieniądze są bardzo szczęśliwe dla tego, kto je mieć może, że mają władzę cudowną. Że ojca prosić o nic nie można, boby się nasz zamiar wydał, zgoła żeśmy się wkrótce domyślili, jakby ich dostać. Za każdą więc zdarzoną sposobnością braliśmy po garstce cudownych pieniędzy, któreśmy tajemnie w ręce gospodarza składali. Ten nie przestawał nam opisywać przyjemności naszej podróży, a co nas najwięcej cieszyło, że sam uda się z nami, że on także z macochą wytrzymać nie może. Nie pamiętam, ileśmy mogli naszego funduszu uzbierać, ale wnet i układy nasze i bogactwo smutny koniec wzięły. Nasz gospodarz miał także swoje peryody, w których się przez dwie i trzy niedziele i więcej trunkowi oddawał; wysłany jednego dnia na jarmark o parę mil, zabrał nasz fundusz podróżny, błąkał się gdzieś ze trzy tygodnie, i do domu z niczem powrócił. Postępek nasz się wydał, ojciec nas tajemnie i łagodnie ukarał, a z gospodarzem zerwały się wszelkie dawne stosunki.

Domyślić się także można, że w towarzystwie, w jakiem żyłem, najwięcej między kobietami prostemi, nasłuchałem się różnych powieści o duchach, zabobonach i czarach, co miało tyle wpływu na moją imaginacyę, iż odtąd puściwszy wodze wyobraźni na czarne te kraje, jak dziecię sam własnych utworów się lękam.

Dopomógł mi do tego bliski cmentarz, przez który musiałem zawsze do szkoły przechodzić. Kościółek drewniany, w środku tego cmentarza, nie wystawiał mi się inaczej, jak za siedlisko duchów, które tamże po nocy swoje uczty miewają. Zwyczaj chowania uboższych ludzi bez trumien i składania ich na cmentarzu pod parkanem dniem przed pogrzebem, które to trupy często widzieć musiałem, zrobiły mnie na zawsze trwożliwym.

Temu także życiu z wieśniakami winienem, o co oskarżyć się muszę, iż dotąd daleko łatwiej umiem postawić się w stanie prostych ludzi, niżeli wykształconych wychowaniem, z jakimi później żyłem. Kilka słów wieśniaczki dosyć są *(sic!)* dla mnie, iżbym wszedł w ich uczucie. Więcej także dotąd umiem się postawić w stanie kobiet, niżeli mężczyzn; więcej mam skłonności rozważać ich skłonności i wsnuć się w ich marzenia, chociaż z niemi mało gdzie żyłem w ściślejszej przyjaźni.

Jednem z najprzyjemniejszych wspomnień mego dziecinnego wieku są wiejskie wesela, których najchętniejszym bywałem uczestnikiem. Prosty nasz lud niema nad to ważniejszej uroczystości. W wioskach tylko dochowały się jeszcze ślady dawniejsze pogańskich obyczajów; istniały one i w stanie wyższym, za najpiękniejszych czasów ojczyzny. U wieśniaków, w naszych stronach, trwa wesele blisko przez cały tydzień, a dzień każdy ma inne obrządki. Był piękny zwyczaj, że każde wesele przez jednę noc bawiło się we dworze, w którym nowożeńcy z całem gronem doznawali gościnności i zarówno się z panami bawiali. Muzyka złożona z dwóch skrzypków i basisty, grywała codzień, przy rannej i wieczornej zorzy, na dobry dzień i na dobrą noc, a jeden z drużbów miewał oracye wierszami, których treści już nie pamiętam, o stanie małżeńskim. Widzieć te druchny, w kwiatach na głowie i mnóstwie wstęgów *(sic!)* różnego koloru na plecy spadających, rószczkę starosty, to jest,

pięciogałęzią jodłę, umajoną rutą, stokrocią, jabłkami, orzechami i t. p.; była dla mnie najmilsza uroczystość. Nie znałem wtedy żadnych innych zabaw ani uroczystości, a widok orszaku powiewającego na wzgórkach chustkami na laskach zawieszonemi, muzyka wiejska, radowały moje serce uroczystem uczuciem. Do dziś dnia, wiejskie wesele nie jest dla mnie obojętne, i oburza mnie w duchu każdy wyraz wyższego stanu, gdy sobie dozwala żartować, lub okazuje obojętność na ten akt jedyny w życiu wieśniaka, który dla niego jest uroczystym. Do takich uroczystości wiejskich należą szczególniej święta religijne: dzień Bożego Narodzenia, pełny cudów, w którym, o samej dwunastej w nocy, przemawiać miały wszystkie zwierzęta, gdy barłogiem potrząsano podłogę i stoły, a po wsi wszędzie brzmiały wesołe kolędy, Boże Ciało, Matka Boska Zielna, a szczególniej dni krzyżowe, w których obchodzimy z procesyą stare po górach rozproszone kaplice, śpiewając litanią do wszystkich świętych tem mocniej, że każde, »zmiłuj sie nad nami!« echo nam oddawało.

W Lipnicy urodził się błogosławiony Szymon, sławny w zakonie Bernardynów krakowskich. Na cześć jemu jest wystawiony w miasteczku kościółek murowany, bardzo schludny, w którym parę razy do roku nabożeństwo bywało. Ten święty, który uczniom bosemi nogami po węglach chodzić kazał, i różnemi cudami słynął, zajął moją imaginacyę i zwrócił umysł ku religii, tem więcej, gdy przypadkiem pomiędzy szafami znalazłem żywoty Świętych polskich. Po stodołach i strychach czytałem to dzieło, i nie żartem przemyśliwałem o życiu świętobliwem, takiem, jakiego przykłady wyczytałem w tem dziele.

Szkoły tak były wtedy w Galicyi urządzone, iż mł dzieży ani głowy obciążać, ani zbałamucić nie mogły; karność nawet, co w braku innych żywiołów two-

rzyć zwykła charaktery, była dość łagodną, zatem na niewinne swawole nasze mógł rząd, chociaż w podbitej i nieprzychylnej prowincyi, spokojnie zasypiać. Dziecię polskie, w domu albo w elementarnej szkółce cokolwiek po polsku czytać poduczone, przychodziło do szkół tak zwanych normalnych, gdzie wszystkiego wyłącznie tylko po niemiecku uczono. W tych szkołach póty musiało wytrzymać, póki nie zostało po niemiecku tak usposobione, iż mogło z niemiecka po łacinie się uczyć. Ale że całą naukę zakładano tylko na opowiadaniu lekcyi na pamięć, przeto znajomość języka była tylko pozorną. Tak w tych, jak w innych szkołach, profesorowie nie zadawali sobie pracy w wykładaniu lekcyj i rozwijaniu pojęcia. Zadano z książki stąd dotąd, raz wytłumaczono po polsku, jeżeli profesor był Polak, kazano się nauczyć; kto chybił, odebrał karę i na tem koniec. Sama więc pamięć była mordowaną, każdy się uczył nie wiedzieć czego, tylko na jeden dzień. Dzieci Niemców, miały więc tę wielką wyższość nad nami, iż rozumiały czego się uczą; a w nas wzrastała nienawiść do nich i do ich języka.

W szkołach łacińskich, czyli tak zwanych gimnazyach, jeszcze więcej było trudności. Dzieliły się na pięć klas, których głównym, a prawie jedynym przedmiotem był Alwar, na 5 wielkich, a w miarę klasy coraz większych tomów podzielony. W trzech pierwszych klasach jeden profesor przez trzy lata prowadził swych uczniów, a po tym kursie od trzeciej wracał znowu do najwyższej. Ostatnie dwie klasy, retoryka i filozofia, miały już osobnych swych profesorów, którzy także wszystkie nauki sami wykładać musieli. Ogromny zbiór przepisów Alwara w tych dwóch ostatnich klasach skracany był tym sposobem, iż między nami przez tradycye utrzymywały się egzemplarze książek, w których słowa do nauczenia przeznaczone podkreślone były

czerwonym ołówkiem, także nawet pojedyńcze peryody do właściwej zwięzłości przyprowadzone były; pierwsza więc czynność wstępujących do nowej klasy była, tak sobie swojego Alwara oznaczyć. Język łaciński nauczany był według niemieckiego, i w szkołach tych już słowa po polsku nikt nie słyszał. Trudność uczenia się języka obcego, za pomocą także obcego niezrozumianego, była nadzwyczajna. Wszystko więc odbywało się mechanicznie, na pamięć.

W drugiej klasie już trzeba było mówić po łacinie, z wolnością wyrażenia po niemiecku słowa, którego się nie wiedziało. Środkiem wykonania tej najuciążliwszej powinności było szczęśliwie znalezione, tak zwane *signum*, mała z drzewa ustrugana książeczka. Urządzenie to w tem było dziwaczne, iż ten tylko burę odniósł, kto ten znak nieszczęsny przez godzinę 12. w południe lub o północy miał przy sobie. Przezorni starali się go wcześniej pozbywać, inni na ostatnią godzinę, tak postrachem terminu nagleni, wszelkich używali środków ku zdradzeniu kolegów, którzy właśnie w tym czasie najwięcej byli ostrożni. W ostatnim zawsze razie kończyło się na tem, iż niespodziewane mocne uderzenie w kark kolegi zmusiło go, naturalnie z bólu, odezwać się przyrodzonym językiem i przyjąć signum na ową niebezpieczną godzinę, skąd wypływały bitwy, skargi i nieprzyjaźni.

Gdy najniższej normalnej klasie, jedynie tylko naukę religii po polsku wykładano, rozumiałem przecie cokolwiek, czegom się uczył. Lecz właśnie to na złe mi wyszło. Gdy nam dano rozdział o *Otchłani*, w której dusze bez chrztu zmarłych cierpią, ucząc się w polu dumałem długo, czy to jest prawdą, czy to sprawiedliwie? Przyszedłem na lekcyę z mocnem oburzeniem, i z chęcią wynurzenia katechecie moich wątpliwości, szczęśliwy, że na jego lekcyi wolno było mówić po pol-

sku — z zadziwieniem kolegów, bo nigdy nie było wolno odzywać się bez rozkazu. Ksiądz katecheta słuchał cierpliwie, zmierzył spojrzeniem, z którego doświadczeni koledzy źle mi wróżyli, i nic nie odpowiedział, a ja w dobrej wierze obchodziłem przez parę dni mój tryumf. Razu jednego spostrzegliśmy w szkole nadzwyczajne zebranie się profesorów, na których czele rektor po długiej mowie mnie, który się ledwo domyślać mogłem, o co rzecz idzie, wywołał na środek. Otrzymałem chłostę, poczem zapisałem się własnoręcznie w czarną książkę jako bluźnierca, — pióro i kałamarz, których dotknąłem się, wrzucone zostały do wody, i jako heretyk siedziałem przez trzy miesiące na lekcyach w osobnem miejscu. Ten wypadek zrobił mnie ponurym i cichym, tem więcej, że po nim od niewyrozumiałych uczniów długo cierpiałem prześladowanie. Do nauk mało miałem ochoty, natomiast skłonniejszy byłem do dumania, mianowicie w rzeczach religijnych; przejmowałem się błogą sercu miłością Boga, stojąc zawsze przy swojem, że niewinnych nie potępia na wieki.

Mieszkaliśmy z bratem Andrzejem u wdowy, podupadłej i już w wieku będącej, która miała dwóch synów, nadzwyczaj żywych i rozpustnych, a którzy wraz z moim bratem, już do wyższych klas chodzili. Wdowa ta, przeszło 50-letnia, w najwyższym stopniu przejętą była szlachetnością swego rodu i swoją pięknością. Bardzo często nam powtarzała, że pochodzi od książąt Spicimirów, a z miasta często zadyszana wracała w trwodze, mówiąc, że przez całe miasto ściganą była od księcia Sanguszki Hieronima, który, jako dziedzic Tarnowa, i jako stary lubieżnik, znany był całej okolicy. Ona znaną była z dziwacznej pretensyi; w ubiorze przypominającym niezmiernie dawne czasy, chodziła zawsze upudrowana, zawsze prędko i zawsze się wachlując. Gośćmi byli dorośli studenci, po większej części instru-

ktorowie młodszych, noszący zawsze gibkie pręty, któremi często libry papieru przecinając, próbowali sił swoich potrzebnych do ich metody nauczania. Starszy mój brat, będąc sam instruktorem, nie użył nigdy w ich sposób swej władzy, i ja z mojej strony starałem się być pilniejszym. Uprzedzenia synów szczepu książąt Spicimirskich dochodziły do wyższego stopnia, którym matka zupełnie zdawała się pobłażać; każdy nieszlachcic był prześladowany (w szkołach dodawano każdemu wyraz *de*, jeżeli był szlachcic), każdy chłop z drewkami przybywający, każda wiejska kobieta z jarzyną, wytrzymać musieli, jako chamy, prześladowanie. Mieli ci szlachcice jakowąś maszynkę drewnianą, która za przyciskiem jak żądło się wysuwała; *każdy chłop ma takie żądło,* wołano i ścigano z nią każdego. Służąca jedyna w domu, wśród pracy tak prześladowana, codziennie prawie płakała. Nieszczęście chciało mieć, że kuzyna naszej szlachcianki zgodzoną była za pannę służącą do mojej macochy. Naturalnie, dwa tylko miesiące przy niej wytrzymać mogła; żal i pomsta spłynęła także na mego dobrego ojca i na nas synów dla tego, że macocha, w kłótniach z ojcem, często czyniła wyrzuty nasuwające nie małe podejrzenie, że nie jest szlachcicem. Cała więc familia zwróciła do nas poniżające przymówki; ścigano nas z żądłem, i dopominano się, aby nasze *de* z katalogu wymazane zostało.

Najczęściej więc z bratem uciekaliśmy w pole, tam nasze odbywając nauki. Po dwóch latach uznał ojciec konieczność umieścić nas gdzie indziej; nastręczono mu krawca, który tanio się zgodził; nienajgorsze miał mieszkanie, lecz w parę jednak tygodni z tegoż się wyprowadził, i mieścił się z żoną, dziećmi, czeladzią i nami w jednej niewielkiej izbie od tyłu. Był to pijak w całem znaczeniu wyrazu. Do szynkowni idąc, zwracał na siebie powszechną uwagę, najgłośniej w rękę trąbiąc, w domu

wszystko wywracał, bił, a dane do roboty sukno na zastaw wynosił; trafiało się, że nasza garderoba, nie tylko z kuferka, ale i ta, którąśmy na noc zdjęli, tego losu doznała. Tym sposobem nieraz po kilka dni nie szliśmy do szkoły, znosząc głód, zimno, przekleństwo nieszczęśliwej żony i skwirk zgłodniałych dzieci. Przymuszony zostać w zimie często przez cały dzień w pościeli, nie mając co wdziać na siebie, z szczególnem zamiłowaniem odmawiałem modlitwy ze starej znalezionej książki, za dusze w czyścu cierpiące. Że według napisów nad temiż modlitwami, można było jednę po sto dni z mąk wybawić, inną po więcej, prowadziłem formalny rejestr dusz przezemnie wybawionych, a nauki zaniedbywałem. Szczęściem przybył ojciec i wyrwał nas z tego strasznego miejsca.

Przenieśliśmy się do jednego z kancelistów *Fori nobilium;* mieszkanie jego, po opuszczonem, pańskie nam się zdawało. Miał on żonę dwa razy od siebie wyższą, niezmiernie brzydką, krzykliwą, ale która przywiązaną była do niego z duszy, i miała dobre serce. Sam był rodem z Węgier, niezmiernie powolny, przystojny, i z duszy także butelkę lubiący. Dla tego trzymany był krótko, równo z nami dziećmi, na rękę żony we wszystkich potrzebach jak my patrzący. Zabiegając tylko, aby się mąż nie upijał, była z resztą nad możność hojną. Po kwartale, w którym ojciec za nas raty zapłacił, lub po pierwszym każdego miesiąca, gdy mąż pensyę odebrał, mieliśmy wszystkiego do zbytku, za to koniec kwartału był zawsze smutny dla zupełnego braku funduszów. Szły znowu na zastaw rzeczy z domu, nawet nasze suknie. Wtedy nasz gospodarz miał wolność więcej z domu wychodzić i upijać się bezkarnie. Gdy l ył gdzie zaproszonym, wracał on w najlepszym humor e, łajany odpowiedział: co ty wiesz głupia? co ty zna ? gdybyś ty wiedziała, jak my tam pili!

Raz późno w nocy przyszedłszy, spostrzegł światło księżyca rzucone na stos garnków, podrzędnie aż do sufitu za piecem ułożonych. Zdało mu się, że to jest djabeł. Podżegany przez nas, nuż machać laską tak dobrze, że wszystkie garnki potłukł. Nazajutrz był w domu wielki kłopot i późno jedliśmy objad. Nie pamiętam skąd dostał mi się przywilej chodzić z moim gospodarzem do szynkowni, w których się upijał. Była to najczęściej brudna komora u Żyda, gdzie pito miód albo wino węgierskie. Szczęściem, że do szklanek prawie żadnego nie miałem udziału, lecz za to bułki do przekąski dawano, o które pijacy wcale nie dbali; sam je zjadałem, nie mogąc się wydziwić, że tacy rozumni panowie, wolą pić wino niżeli jeść bułki.

Jeździliśmy parę razy do domu na wakacye, gdzie coraz było gorzej i smutniej. Całe dni trawiliśmy w polach i lasach, nie pokazując się prawie macosze, która, obok wszystkich swoich przymiotów, nawykła do pijaństwa, któremu towarzyszyło bicie sług i chłopów. Jednego roku w zimie niebezpiecznie był ojciec zachorował, i sąsiedzi przysłali po nas do Tarnowa furę, abyśmy umierającego ojca pożegnać mogli. Stało się to bez wiedzy macochy. Przybywszy, zastaliśmy ojca u spowiedzi; przy łóżku obok krucyfiksu świece gorzały. Był to właśnie moment, po którym ojciec podpisał testament. Treść obudziła gniew tej nieszczęśliwej kobiety do tego stopnia, iż zapisane jej kopersztychy i obrazy z pokoju chorego zdzierała ze ściany, i z krzykiem największym w obec księdza, pisarza i świadków, którzy na ten widok zmartwieli, ku łóżku miotała. Ojciec modlił się tylko po łacinie. Gdyśmy na to weszli, gniew j j zwrócił się ku sąsiadom obecnym, że na to nas s rowadzili, abyśmy majątek po ojcu zabrali, ją w ko- s ali puścili i tym podobne. Ojciec rzucił na nas żało- s em okiem, widać było na nim mocne poruszenie,

kazano nam się oddalić. Płacząc przepędziliśmy noc całą w izbie czeladniej. Uzyskaliśmy na chwilę przystęp spokojny do ojca, pobłogosławił nas i kazał do szkół odjechać. Płakali nas domownicy, szczególniej poczciwy Żyd arędarz, koło któregośmy przejeżdżali. Obdarzył on nas łakotkami różnemi, dał po dwa złote w trzechgroszówkach, suma, jakiej jeszcze nigdy nie miałem.

Że mój brat starszy ukończył gimnazyum w Tarnowie, przeniesiono go do Krakowa na uniwersytet i mnie przy nim, gdzie byłem w drugiej gimnazyalnej klasie. Nieszczęście było zawsze jakieś przywiązane do naszych stancyj studenckich. W Krakowie umieszczono nas u stolarza, na końcu ulicy Wrocławskiej, w izbie, w której heble i piłki w nieustannej były robocie. Stolarz ten był razem tokarzem, mającym swój warstat w małym sklepiku na ulicy Grodzkiej. Tam musieliśmy chodzić na śniadanie i na obiad, czekać po godzinach, jeść najniegodziwiej, a obiad kończył się na tem, że łyżki i półmiski małżeństwo sobie na głowy rzucało. Był to widać pijak i oszust, który wzięte od ojca pieniądze stracił, na żywienie nas wystarczyć nie mógł, i od żony za hultajstwo swoje karę odbierał. Tak włócząc się przez jesień, od szkoły do tokarni, stamtąd do stolarni, głodni i przemokli, zostaliśmy bez ratunku. Obcy dopiero człowiek wpodle nas mieszkający, przez szczególną troskliwość, wywiedział się o stanie naszego ojca, przyszedł do nas i podjął się nas umieścić gdzie indziej, pewny będąc, że mu tego postępku ojciec za złe nie weźmie. Uściskaliśmy dobroczyńcę naszego, niebawnie przenieśliśmy się na ulicę św. Anny, blisko szkół, do gospodarza porządnego, gdzie już zastaliśmy kilku uczniów mieszkających. Rajem zdało się nam to nowe mieszkanie; stancye były porządne, stół jak najlepszy, ludzie dobrzy, o nas troskliwi, i weseli koledzy.

Wkrótce nadeszła wiosna, we mnie ożywiła się najżywiej miłość dawnej swobody, biegania po górach i łąkach, najczęściej samotnie. Brat mój zaczął życie akademickie, miał swoje prace, przyjaciół, oddawał się z zapałem poezyi; ja zostawiony byłem samemu sobie, w naukach zupełnie się opuściłem, celowałem tylko w pracach piśmiennych po łacinie, które, sam nie wiem jakim sposobem, łatwo mi przychodziły. Najulubieńszą moją zabawą było zbieranie i zasuszanie ziół i kwiatów; i na tem całe przedpołudnia trawiłem często na górze Bronisławy. Książki, będąc już lat kilka studentem, żadnej jeszcze nie czytałem. Lubiłem i umiałem różne pieśni, ale nigdy mi przez myśl nie przeszło, ażeby można jakowe wiersze czytać. Historyczne pomniki Krakowa były mi najobojętniejsze, gdyż żadnego o historyi polskiej wyobrażenia nie miałem; wiem tylko, żeśmy spółuczniów Niemców bili i przezywali, jako Niemców.

Ojciec po długiej słabości zdołał przecie do nas przybyć. Zapłacił poczciwemu gospodarzowi, który bez żadnej ugody i znajomości nas żywił. Wkrótce po odjeździe jego doszła nas wiadomość, że już nie żyje. Nie przypominam sobie z tych czasów szanowniejszej postaci nad mego ojca, ku któremu więcej mieliśmy uszanowania, niżeli dziecinnej miłości. Starzec 60 letni starannie po polsku się nosił, z tym tylko wyjątkiem, że zamiast podgalania włosów na głowie zaczesywał je od czoła, spuszczając siwe loki na plecy; powolny, milczący, wtenczas się tylko do nas odzywał, gdyśmy na połajanie zasłużyli. Co dzień o ćwierć mili chodziliśmy z nim na mszę, w niedzielę tylko kazał zaprządz mały wozik, zwany wanienką. Był nadzwyczajnie oszczędnym, w końcu aż do skąpstwa, stąd pochodziło nieszczęśliwe mieszczenie nas po szkołach. Wymyślny sam w pięknym polskim ubiorze, nam bardzo rzadko sprawiał nowe suknie, lecz z ogromnej swej garderoby przerabiać kazał

kapotki. Co rok w czasie wakacyi rozwieszano na dziedzińcu do stu kontuszów i żupanów, czyniono z krawcem lustracyą, które z nich dla dzieci przerobione być mają; mieliśmy przeto sukienki w różnych dziwacznych kolorach. Było zwyczajem, że do trzeciej klasy łacińskiej, młodzież nosiła się po polsku, w ostatnich dwóch po francusku, była to niejaka oznaka wyższości. Memu bratu starszemu przypadła jakaś suknia z żółtemi pasami, z której frak mu zrobiono; wyśmiewany był od wszystkich uczniów. Oprócz starostwa Kipnickiego, które nasz ojciec lat 20 dzierżawił, miał dożywocie jednej wioski. Że sam nie był gospodarzem, wypuszczał grunt abszytowanym żołnierzom, budował im chaty, i ci byli do niego najprzywiązańsi. Sprawiedliwy, rozsądny, tak był kochany i poważany, iż na pogrzeb jego do kilku tysięcy się zjechało. Utrzymywał wiele korespondencyj; do Krakowa regularnie dwa razy w tydzień posłańca wysyłał.

Trzy miesiące od śmierci ojca upłynęło, nasz najem się kończył, do nas nikt się nie zgłosił. Brat Andrzej zyskał sobie niejaki zarobek pisząc u adwokata, mnie jak mógł dopomagał, lecz wyżyć dłużej obydwom było niepodobno. Przedsięwziąłem więc udać się do macochy, a wrazie najgorszym szukać u sąsiadów porady i wsparcia. Uszyłem sobie potajemnie z prześcieradła torebkę, dostawszy od Żydów za niepotrzebną czapkę kilka czeskich, zabrałem moje manatki i puściłem się pierwszy raz w pierwszą podróż o 8 mil do miejsc rodzinnych; zdawało mi się, że na koniec świata; wiek, słabe zdrowie i brak wprawy ledwo mi dały tę podróż ukończyć, spoczywając co chwila po lasach i górach, zostawiałem coraz więcej po drodze moich manatek, najprzód książki potem i sukienki, co mi wszystko nieznośnie ciężyło, tak dalece, że prawie z niczem przyszedłem na miejsce.

Stanąwszy w Lipnicy, z drżeniem serca zbliżałem się do domu, który dla mnie tyle smutnych miał wspomnień. Nie zastałem w nim nie tylko macochy, ale nawet i żadnego z czeladzi. Po śmierci ojca Niemcy, według prawa, natychmiast starostwo objęli, gdy starosta Moszyński dożywotni, w jednym czasie z mym ojcem umarł. Poznała mnie jedna z wiejskich kobiet, zaprowadziła do domu swego, gdzie noc smutną spędziłem. Dowiedziałem się, że macocha zaarendowała polne dochody plebanii w Rajbrodzie, w jednej z wiosek do starostwa należących. Mąż tej kobiety odprowadził mnie do Rajbroda, pół mili tylko od Lipnicy odległego. Po drodze wstąpił ze mną na cmentarz, pokazał grób ojca, pomodlił się ze mną; przechodząc przez miasteczko (Murowaną Lipnicę) zaprowadził na piwo i bułki. Zeszło się do szynkowni wiele ludzi, najwięcej mieszczanek, byłem głaskany, żałowany, mówiono niezmiernie wiele o majątku ojca, co macocha zabrała, co Niemcy skręcili i tym podobne; wszyscy podawali mi szklanki a nawet i kieliszki z wódką.

Przyjęcie u macochy nie było takie, jakiego powinienem się był obawiać; nagła zmiana losu i w nim upokorzenie, głos sumienia, a najwięcej chęć zyskania opinii, sprawiły zapewne, iż mi nie odmówiła przytułku, po który tylko ślepym instyktem wiedziony przybyłem. Mieszkała w szczerem polu, w nowym zupełnie domku, o dwóch izbach z jednej, a kuchni i spiżarni z drugiej strony; zresztą żadnego drzewka ani przybudowania; droga nawet w to miejsce ledwie była cokolwiek utartą. Miała przy sobie dwoje małych dzieci i jedną tylko służącą. Przyjęty byłem do czasu, póki opiekun i *forum nobilium* nami nie rozrządzą.

Wieśniacy Rajbroda różnili się od włościan okolicznych obyczajami, wymową, a nawet strojem zupełnie prawie odmiennym. Liczne chaty rozproszone po dwóch

pasmach wzgórzystych, około niespokojnej, często wylewającej rzeki, przez samych tkaczów były zamieszkane. Trzaski warstatów rozlegały się od świtu do zmierzchu, a wielkie wzgórza i trawniki pokryte były blichującem się płótnem. Pola mało zasianego, natomiast cała prawie wieś składała się z sadów, w których najwięcej włoskich orzechów. Na małym placu równym, w dolinie, stary drewniany kościółek Maryi Pannie poświęcony. Plebania była na cmentarzu, tak, że pod oknem prawie chowano. Pleban grubych obyczajów, z nudoty pijaństwu oddany, pełnił jak umiał swoje obowiązki, żyjąc rano dla Boga i owieczek, po obiedzie dla siebie i dla węgrzyna.

Nie mając żadnego towarzystwa i zatrudnienia, żadnej a żadnej książki prócz łacińskiej i niemieckiej gramatyki, jedyne towarzystwo znalazłem w drzewach, siołach i strumykach, nad któremi czas mój pędziłem. Niczem prawie ze szkół, oprócz trochę tych dwóch języków nie uposażony, nie miałem w tej samotności żadnego żywiołu dla myśli. Obyczaje wieśniaków zdały mi się zbyt grube w porównaniu z sąsiedniemi, i nie miałem z niemi prawie żadnej styczności. Dumania po polach były mi zawsze jakąś rozkoszą, połączoną z tęstknotą. W szczupłem mieszkaniu macochy, którą moje próżniactwo bynajmniej nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć i pisać lub czytać gramatykę. Tam między innemi rzeczami spostrzegłem wór papierów po ojcu moim zabranych. Między listami, rejestrami było wiele drukowanych na arkuszach i półarkuszach, mowy sejmu 4-letniego, wiersze, najwięcej na imieniny różnych panów lub króla Stanisława, jak to bywało zwyczajem, iż podobne r e-czy osobno drukowane po wszystkich domach się r z-chodziły prędzej niż gazety i książki. Z wielką chciv o ścią odłączałem te skarby mojej lektury od papier w

na nic nie przydatnych, a biorąc po świstku w pole, czytałem głośno to mowy, to wiersze. Tamte mało mnie zajęły, nie zrozumiałem o co w nich idzie, wiersze sprawiały mi rozkosz, jeżeli w nich jakie porównanie, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo powinszowań Naruszewicza, X. Jakubowskiego, lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższemi zdawały i w pamięci utkwiły.

Te jednak wiersze, lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestosowne, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniej naprowadziły mnie na poznanie zewnętrznego składu wiersza; przetrząsłem jeszcze raz wszystkie papiery w worku segregowane, powycinałem białe kartki, zszyłem sporą książkę, i póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole, i ukryty w gęstwinach, układałem w rymy, co mi do głowy przyszło. Byłem jak piskle w gnieździe, które, instynktem samym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje. Najczęściej śpiewałem nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodya naprowadzała mnie na wyrazy, którem zaraz śpiewał. Były to wyrazy tęsknoty za matką, której nie znałem, i więcej jeszcze piosneczki miłosne, proste naśladowanie dumek od żniwiaczek słyszanych. Byłem wtedy szczęśliwy i cały dzień zajęty, a bez żadnych zapasów wiadomości, układałem projekta do dużych poematów.

Nadeszła zima najsmutniejsza dla mnie, bo już nie tylko towarzystwa, ale i natury pozbawiony, bez żadnych książek przepędzić ją musiałem; wieczorem chodziłem do czeladniej izby plebana, szczęśliwy, jeżeli trafiłem na dzień, gdy parobki i prządki opowiadały tak zwane *gadki*, historyjki, lub kiedy śpiewano pobożne pieśni, czem się zwykle nasi wieśniacy przy pracy zajmowali. Bywałem także u organisty, który miał w domu lichy kawicymbalik. Czasem zagrał na nim pieśni pobożne,

bo innych nie umiał; pragnąłem w najwyższym stopniu uczyć się na tym instrumencie, lecz ujrzałem niepodobieństwo skłonienia organisty, który nie chciał udzielać tajemnicy swej sztuki, może i dla tego, że żadnej nagrody spodziewać się nie mógł. »Pan jesteś i będziesz panem, i nie potrzebujesz być organistą« odpowiedział mi, nie wiem czy w prostocie serca, czy też żartując z biedaka. Macocha moja pogniewała się z plebanem, stąd przez całą zimę towarzystwa nie było; oboje w samotności, pokątnem nachylaniem kieliszka wieczory długie odprawiali.

Przecież zbliżyła się wiosna razem z Wielkanocą, w czasie której już czerwone prątki krzewin pączki obiecywały, a cmentarz był pełny fiołków. Zajmowało mię wielkie nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mnie szczególniej psalmy, śpiewane przez niego, psalmy przy grobie Chrystusa. Śpiewałem je za nim samym, później kolejno, nazajutrz rano i popołudniu sam nie ustawałem śpiewać, a organista z ochotą dał się wyręczyć. Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie sprawiły tak śpiewane pieśni Dawida po skończeniu uroczystości Wielko-nocnych; potrafiłem uprosić od organisty książkę, której używał, czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc najdalej, żeby mnie ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą gramatyką i czułem słodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyckie, ale i religijne, a od smutku i tęsknoty do błogiej wesołości i nadziejnych marzeń przeszedłem.

W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Andrzeja, który z uniwersytetu lwowskiego przybył do stryja, mającego znaczne probostwo w Wojnicz, o 4 mile od Rajbroda. Co była za radość moja, czytać list cały o poezyi, której się brat mój z największ n

zapałem ciągle oddawał, i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza z Kempis, a nawet całej tragiedyi przez niego napisanej, pod tytułem Ludgarda! Doniósł mi o książkach, jakie czyta, o księdzu Juszyńskim, który się trudnił bibliografią polską: że go poznał, bywa u niego i rady zasięga. Posłałem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiej i poezyi. Już i psalmy i płynąca z nich osłoda nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęsknoty do brata, do jego książek, a co większa, widzieć jeszcze trzeciego człowieka, księdza, chcącego się zajmować poezyą. Nikt się o mnie nie pytał, w zaniedbaniu nie wiedziałem na co żyję; w domu byłem widocznie tylko cierpianym; umyśliłem więc, puścić się w drogę do stryja, który był i prawym moim opiekunem. Szło tylko o to, że byłem zupełnie odarty, a tak nie śmiałem się pokazać w domu stryja gdzie, jak słyszałem, bywali goście.

Wynalazłem na moim strychu walający się surdut, niegdyś lokajski, po poczciwym Macieju, który go po śmierci ojca mego zrzucił i został na powrót parobkiem. Prosiłem o niego macochę, otrzymałem, a po różnych naradach z krawcem wiejskim, który się długo wahał jąć tej roboty, przechodzącej jego umiejętności, skleił się surdut dość poczesny, po odjęciu wszelkich znaków lokajskich. Tak wystrojony nie wahałem się wystąpić na świat za granicę Rajbroda. Udałem się o pół mili do Lipnicy, do księdza wikarego, który znał mego stryja, z prośbą o poradę. Widząc mój stan próżniactwa, moje łzy, skłonił się, iż miałem być wyprawionym konno z przewodnikiem do Wojnicza. Macocha wyjechała na dłuższy czas, nie mówiąc nic nikomu, puściłem się w moją drogę, pełen najświetniejszych nadziei. Mój stryj i opiekun był przykładnym i oświeconym kapłanem, dobrym oraz i hojnym dla gości sąsiadem, miał

piękne dochody, lecz za to nie miał ducha ekonomicznego, nadto przytem obciążony był familią: oprócz nas, czworo dzieci po jednym bracie bawiło przy nim, po drugim matka z córką. Mniej czule przyjąłem niezbyt uprzejme przyjęcie, szczęśliwy, żem się połączył z rodzeństwem, szczęśliwy z bratem starszym.

Wojnicz leży w przyjemnem położeniu blisko Dunajca, owej rzeki porywczej, gwałtownie często wzbierającej, tak iż często drzewa, trzody i szopy pasterskie w górach zerwane pędziła. Probostwo składało się z obszernego, bardzo porządnego mieszkania z drzewa po staroświecku, i z przepysznego ogrodu włoskiego, którego czołem był sad, mający najwytworniejsze owoce; kilka miesięcy pobytu mego w tym mieście liczę do dni najszczęśliwszych młodości mojej; wszyscy czworo, to jest dwie siostry i dwóch braci, mieliśmy jedne skłonności, lubiliśmy czytać wiersze i po spacerach między wzgórzami piękne wynajdywać okolice. Ksiądz stryj dzielił z nami po części to usposobienie. W jednej altanie ogrodu leżała spora księga, gdzieśmy wszyscy zapisywali różne wiersze, koncepta i powiastki. Jędrzej celował dowcipem i pracą, od wszystkich najwięcej kochany. Najgłośniejszą lekturą naszą były sielanki Gesnera, wierszem przez X. Chodaniego przełożone. Wszyscy nie tylko pisaliśmy sielanki na wzór Gesnera, ale nasze rodzinne dziecinne życie było prawdziwą sielanką.

Ja najwięcej się przywiązałem do Szczęsnej, stryjecznej siostry, która zupełnie była równego ze mną wieku i jednych skłonności. Z nią chodziłem najczęściej na łąki zbierać zioła, któreśmy zasuszali i układali z nich pewien rodzaj landszaftów. Ona wkrótce wraz z matką wyprowadziły się o pół mili do wsi Więckowic, gdzie bawiły przy państwie Miroszewskich, w pałacu pięknie umeblowanym, a raczej trudniły się

dozorem domowego gospodarstwa. Tam, niewidziany od państwa lub gości, przychodziłem na sam koniec dużego ogrodu pod umówioną morwę, gdzie wybiegała do mnie, przynosząc mleka kwaśnego i chleba, tudzież książki, jakie z biblioteki porwać mogła. Jeżeli dzień minął, gdzieśmy się nie widzieli, nie obeszło się bez listu; kochaliśmy się najczulszą braterską miłością, weseli w zabawach, a zbyt może sielankowi i gesnerowi w naszych listach. W ogrodzie stryja zrobiliśmy oboje mały ogródek, nad którym najwięcej pracowałem; kanapkę z darni zrobiłem, i starałem się przesadzać do niego najwięcej polnych kwiatków, które się rzadko przyjmowały; tam było nasze ulubione siedzenie.

Nigdzie, gdzie stryj i siostry bywały, pokazać się nie mogłem, bo oprócz zbyt lichej garderoby, byłem w najwyższym stopniu nieokrzesany, nieśmiały, lubo w gronie czułem słodycz ugrzecznienia obyczajności wyższego świata, o jakim tylko z daleka słyszałem i pragnąłem poznać. Kiedym przechodził koło pięknych dworów, których w tej okolicy pełno było, wystawiałem sobie, że wewnątrz nich jest raj prawdziwy. W imaginacyi stawiałem się pośród dam, byłem zręczny, przytomny, a nawet układałem dowcipne odpowiedzi i komplementa, na różne zajść mogące pytania i okoliczności. Nieraz znakomita dama, mijając brudnego chłopca, nie wiedziała, że tenże układa właśnie do niej najsubtelniejsze wyrazy uczuć i dowcipu, jednakże od samej natury czerpane. Chociaż pózniej nigdy w życiu nie umiałem zrealizować czułych w sobie zdolności i chęci. Zawsze nieśmiały, nieprzytomny, dopiero wracając od dam, po drodze ślicznie i dowcipnie odpowiadałem, rumieniąc się i niepokojąc, że tak niezgrabny być mogłem. Raz istotnie starościna Dąbska, o której wykształceniu największe sobie snowałem wyobrażenie, raczyła do mnie na spacerze przemówić. Traf ten niespodziany tak mi

odebrał przytomność, że coś niezrozumiałego mruknąwszy, w największym pędzie uciekłem i już z każdego odtąd miejsca uciekać musiałem, gdzieby mnie ujrzeć mogła. Taką moją nieśmiałość czułem głębiej nad wszystkie cierpienia; ona mię prześladowała i prześladować będzie do końca życia, i jest główną przyczyną wszelkich we mnie innych niedoskonałości i niefortunnych kolei.

Nie widząc nigdy towarzystwa, jak mówią, wyższego świata, najwięcej o niem lubiłem marzyć, i nic dla mnie naturalniejszego nie było, jak dobrą, grzeczną damę uważać za bóstwo prawdziwe. Tem wyobrażeniem nie upoiły mnie romanse, bom dotąd żadnego w życiu nie czytał, ani poezye, bo najwięcej i jedynie miałem na pamięci pasterki Gesnera, lecz sądziłem, że słodycz obyczajów, cnoty, jakie tenże w pasterkach malował, znajdują się rzeczywiście w towarzystwie wyższego świata. Gesnera Idylle, mające za przedmiot naturę, są jak to każdy dziś czuje, najmniej naturalne i już zapewne nikt ich nie czyta; lecz właśnie ta idealność Gesnera jest podług mnie jedyną poezyą dla wieku dziecinnego, który jak, swojej własnej, tak i w sztuce oddanej, szczerej niewinności i uczuć dziecinnych nie zdoła czuć, bo ich z niczem porównywać nie umie, bo nie wiedząc o tem, sam ich jest pełniejszy niż wszyscy poeci. Właśnie więc dla tego Gesner podoba się młodości, że nie maluje rzeczywistej natury, że wystawia świat idealny, w jaki tylko wiek dziecinny wierzyć może i do jakiej najwięcej jest skłonny. Dlatego też może Gesner od wykształconej społeczności we Francyi więcej niż wszędzie był uwielbiany, bo tej prawdziwie idylicznej natury czuć już nie była w stanie tak, jak umysł dziecinny czuć jej jeszcze nie może.

Szczęsna, siostra widziała nierównie więcej świata odemnie, miała przyzwoite wykształcenie i bywała u na-

komitych pań w stolicy, a moje przecież nieokrzesanie wcale jej nie uderzało i często wymykając się od zabaw i gości, wolała w ogrodzie przebywać z chłopakiem odartym, który nawet okna unikał, gdzie widział gości. Każdy przysmaczek, jaki się jej dostał, był wspólnie ze mną zjedzony, a z rozmowy naszej rozumowania były, jak mówiła, więcej nauczające, niżeli towarzystwo, które opuszczała. Czuliśmy do siebie nie tylko przywiązanie, ale pewne uprzedzenie o sobie; wszystkie nasze zdania były zawsze jedne i najlepsze. Szacunek dla jej wyższego poloru miałem taki, iż nigdy nie odważyłem się dać jej braterskiego pocałunku; żyliśmy z sobą jak bracia, i po niej uważano, że ma więcej męskich skłonności.

Brat mój Andrzej umieścił się tymczasowo u starosty Dąbskiego jako sekretarz. Mieszkanie starosty było jedno z najwspanialszych w okolicy; wkradałem się często do niego z największą obawą, równie aby mnie pies, starościna lub dama jaka nie spostrzegła. W całym tym pięknym dworze polskich książek prawie nie było, lecz tylko francuskie, którego języka obadwaśmy nie rozumieli. U doktora dworu wynalazł brat poezye niemieckie Hallera, zdobycz dla nas obudwu niezmiernie ważna; ja mało mogłem go zrozumieć, brat mi tłumaczył, piękniejsze miejsca nawet wierszem przekładał. Wiersz do wieczności szczególniej nam się podobał. Wkrótce byłem w stanie rozumieć całego Hallera, niezmiernie uradowany, że są rzeczy głębiej zajmujące jak sielanki Gesnera, Chodaniego. Gdy raz starostwa wcale w domu nie było, miałem sposobność obejrzeć pięknie umeblowane pokoje; widok ten sprawił we mnie zadziwienie. Na obrazy żadnej nie zwróciłem uwagi, lecz alabastrowe wazony, szczególniej zaś figury gipsowe, pare marmurowych czy mozajkowych kolumn, nęciły mni tyle, iż się im napatrzyć nie mogłem. Snycerskie

roboty ołtarzów i rzeźby, których tyle w kościołach krakowskich, mało mię niegdyś zajmowały, ale te rzeźby z antyków naśladowane, już dały mi poznać, że w ludzkiej postaci coś nadludzkiego mają. Nie mogłem odtąd patrzeć na żadne tłuste, złocone po kościołach aniołki. Dotąd nad wszystkie sztuki najwięcej mię zajmuje rzeźba starożytna; ona jest wyobrażeniem spokoju i duszę pokojem zapełnia.

Gdy się pozostałością po ojcu zajęto, pokazało się, iż jako tako parę lat jeszcze w szkołach pobyć możemy. Brat Jędrzej udał się do Krakowa, ja napowrót do Tarnowa do mego Węgrzyna Wrerena. Jednakże fundusz na moje utrzymanie w Tarnowie, lubo najskromniejsze, na rok tylko wystarczał, gdy mi 3 lata koniecznie do ukończenia szkół było potrzeba. Zmuszony byłem dzieci uczyć po domach, lubo najmniej miałem do tego usposobienia, a to szczególniej z powodu powolności, która dla zbyt żywych w tych stronach dzieci nie była stosowną.

Mój zawód pedagogiczny, wypadało mi zacząć od synków Żyda zamożnego, który nie chodził w zwykłym ubiorze żydowskim, i pragnął szczególniej, aby dzieci po polsku umiały. Wybór do tego zdarzyły nie moje zdolności, ale pokora i powolność, która mnie z oczu i ubioru oznaczała. Dla Żydków bojaźliwych, od młodzieży prześladowanych, takiego było potrzeba. Jakoż dobrze obie strony wyszły, bo te dzieci były niezmiernie posłuszne, a przytem pokorne, i ja nie potrzebowałem dodawać sobie powagi pedagogicznej. Postęp był coraz lepszy, ojciec po dwa razy podwyższył mi wynagrodzenie, a matka rozpłakała się z radości, gdy dziecię najmłodsze płynnie czytało. W dzień sabatu miałem zawsze wyborne ciasta dane do chustki, które pożywałem z kolegami, a ci powoli przestali mnie prześladować, żem jest żydowskim belferem. Miałem za te godziny

3 reńskie na miesiąc, co było płacą nadzwyczajnie hojną, gdy gdzieindziej po jednym i pół tylko dawano. Nabierałem powoli wprawy w nauczaniu, lecz za to uczenie się szło bardzo niepomyślnie.

Gimnazyalne szkoły w Galicyi wówczas urządzone były tak, że prócz języka łacińskiego i niemieckiego, żadnej prawie nauki powziąść *(sic!)* w szkołach nie można było, *sintaxis*, retoryka i poetyka, w najdrobniejszych szczegółach zawikłane, nużyły umysł i obciążały pamięć; miałem do nich wstręt najwyższy, natomiast wolałem tłumaczyć autorów; w pierwszym roku mieliśmy profesora, pod którym cały rok zszedł na niczem. Był to pijak i cynik w najwyższym znaczeniu wyrazu; cała przestrzeń jego płaszcza między podszewką a suknem, zapełnioną była kajetami naszemi, które stanowiły pościel tego filozofa, jak go nazywano. W mieszkaniu jego żadnego, co się zowie, sprzętu nie było, natomiast cała podłoga osuta barłogiem, która stanowiła obszerne łoże, a kajeta za poduszkę służyły. W płaszczu mieściły się czasem butelki węgrzyna, z których popijał bez względu, gdzie myśl do tego przyszła, czy na ulicy, czy w szkole. Lekcye swoje przekrzyczał z całej siły głosem olbrzymim, rzucaliśmy wtedy na niego gałki z papieru i piasku, które z stoicką wytrwałością chwytał i do innych zasobów w swym płaszczu usuwał, wciąż deklamując. Gdyśmy odbywali pobożne procesye parami, komenderował nami głosem piorunującym, jak dywizyą dragonów, na widowisko ludowi. Nie pojmuję jak to wszystko cierpiano; ten nieszczęśliwy skończył przecież utratą rozumu, gdy krótki kożuch i karabelę przywdziawszy, podczas kazania wszedł na ambonę, kaznodzieję za kołnierz porwał i chciał mieć naukę. Ten wypadek zdał się bacznej zwierzchności dostatecznym do usunięcia tego nauczyciela, jakoż jużeśmy go potem nie widzieli.

Był drugi profesor, Niemiec, nazwiskiem Schmidt, którego zawsze zachowam w pamięci. Proszę córki, dla której domowej rozrywki godziny spoczynku pisaniu tych kartek poświęcam, aby kiedy i za niego westchnęła do Boga. Stan poczciwego nauczyciela jest zawsze stanem męczeńskim, zasłużonym ludzkości, który niezawdzięczany cierpieć musi niesforności, jakie dzieci bądź od natury, bądź od rodziców przynoszą, który jak najemnik za lichą zapłatę co rok nowe pola obsiewać i plewić musi. Był to człowiek rzadko wolny od pedantyzmu, łagodnie i z przywiązaniem około swojej winnicy chodzący. Postrzegł on niejakie naturalne zdolności moje w pismach, jakie mu po łacinie i po niemiecku podawałem. Gdy raz moją robotę rozbierał powiedział wręcz, iż ją przepisałem skądinąd. Pochlebiało to mojej miłości własnej, lecz razem napełniło żalem, iż o nauczycielu, któregom kochał, mieć nie mogę dobrego mniemania, który sam dał poznać, iż na nie zdołałem zasłużyć.

Zaprosił mnie raz na podwieczorek (były to dla mnie pierwsze w życiu zaprosiny), zręcznie i łagodnie począł wybadywać, lecz nieszczęściem nie poznał we mnie nic więcej, jak zaród poety w języku, który uważał za niewdzięczny i już z narodem umierający. Zachęcał mnie do poezyi niemieckiej, pożyczył mi pism Utza, Kleista, Hagedorna. Pożerałem szczególniej Kleista, lecz zamiast próbować sił w wierszach niemieckich, przynosiłem mu przekłady polskie z tychże poetów, a jako wynagrodzenie za posłuszeństwo, oddawałem robotę w prozie niemieckiej. Obojętny był na to, że ze wszystkich współuczniów najmniej się uczyłem obszernych przepisów o syllogizmach, a gdy się przekonał o zupełnym wstręcie moim do matematyki, której początki dopiero w tej klasie dawano, całkiem mnie od

niej uwolnił. To jednak zupełne zaniedbanie tej nauki wiele mi później przykrości sprawiło.

Chciwy na książki polskie, nigdzie ich dostać nie mogłem, prócz niektórych romansów, które mnie wcale nie zajmowały. Z niemieckich, oprócz wspomnionych wyżej poetów, udało mi się dostać Goethego i Wielanda niektóre poemata. Pierwszy długo był moim ulubieńcem i najwięcej odpowiadał memu usposobieniu. Pisałem i tłumaczyłem po polsku, bez żadnego wyobrażenia o gramatyce języka, nawet pisowni polskiej. Uzbierawszy sumkę przeszło zł. 10, znalazłem sposobność sprowadzić sobie parę książek polskich z Krakowa. Niecierpliwość moja w wyglądaniu sąsiada, który miał z niemi przybyć, była taką, iż przez tydzień może wychodziłem pół mili na gościniec, ażali go nie spotkam. Zakazane było czytanie polskich książek z powodu, jak mówiono, aby nie zaniedbywać obcych języków. Prefekt szkół dowiedział się o tym transporcie dla mnie, przybył do stancyi, i bez wszelkiego względu zabrał tę kontrabandę; książki te były: Wybór poezyi dla szkół przez Pijarów w Warszawie wydany — Paweł i Wirginia, przez B. de Saint-Pierre po polsku, i jakieś dziełko Floryana. Obciążonego tym łupem księdza musiałem odprowadzić do domu, gdyż mieszkałem na wzgórku, z którego zejście podczas odwilży było śliskie. Prośby moje o oddanie tych książek były daremne. Często nawet odbierałem wyrzuty, iż czytam książki zakazane, co już wtenczas burzliwością nazywano.

Jednego razu, kupując u przekupki jagody, postrzegłem, iż dla zrobienia trąbki dla ich wsypania, udarła z dawnej książki kartkę z greckim drukiem, na której dostrzegłem napis: Rytmy Jana Kochanowskiego, którego tylko niektóre psalmy z książek nabożnych znałem. Zachwycony tym skarbem, bez żadnego namysłu porwałem książkę, a raczej to, co jeszcze na trąbki

nie poszło i najspieszniej z nią uciekłem. Przekupka, a za nią wszystkie towarzyszki narobiły hałasu, prefekt jakoś znalazł się na rynku, i tak zdobycz moją, jako niegodziwy winowajca oddać musiałem, a sam na kilka godzin poszedłem do kozy, gdzie miałem dosyć czasu dumać nad moją nieroztropnością, iż z właścicielką nie wszedłem w układy, któraby zapewne Rytmy Jana Kochanowskiego zamieniła na jakie studenckie kajeta. Uwolniony nie smiałem się jej i towarzyszom pokazać.

Wśród tych przeszkód przywiązanie moje do poezyi coraz więcej wzrastało, najwięcej czułem przyjemności ukryć się w zbożu i tam ołówkiem pisać, co mi na myśl przyszło i deklamować. Na pięknej górze św. Marcina, przy gruzach zamku Tarnowskich, w ogrodzie Puślik, ćwierć mili od miasta, do księcia Sanguszki należącym, poddawałem się zewnętrznym wrażeniom i używałem. Roskoszna była blisko miasta dolina, prowadząca do drewnianego kościoła św. Trójcy, środkiem której płynął potok pomiędzy olszynami, miejsce miłej wrzawy różnego ptastwa. Lecz najmilsze były mi przechadzki po brzegu rzeki Biały lub po gościńcu; woda zdaleka daleko płynąca; spotykanie dalekich podróżnych, mianowicie furmanów niemieckich, których kraj przez poznanie poetów był dla mnie poetycznym; oto, co daleko żywiej do marzeń skłaniało, niż spokojne góry i doliny. Stawać przy oberżach, przypatrywać się podróżnym zakurzonym, brykom furmańskim, i przenosić się myślą w odległe miejsca, było to dla mnie niejako odbywać podróż w dalekie, urocze strony, do których tęskniłem. Długo nie miałem o szczęściu wyobrażenia wyższego, jak jechać i jechać najdalej.

Brat Jędrzej pisywał do mnie ze Lwowa, przesyłając swoje poezye i rady nad mojemi. Czyste jego serce gorzało poezyą dla samej cnoty, i wszystkie jego listy dążyły najwięcej do obudzenia we mnie moralnych

uczuć. Nie miałem podówczas ważniejszej chwili życia, jak gdy mi przysłał drukowany tomik swoich poezyj, w którym, miłością braterską powodowany, umieścił parę mych wierszy. Radość ze sławy brata i mojej była trudną do wyrażenia; to tylko nieprzyjemnie mi było, iż czyniąc wzmiankę o mnie, który już retoryki słuchałem, małym chłopcem mnie nazwał; w samej rzeczy pochwała ta mogłaby mieć na mnie wpływ szkodliwy, gdybym był otoczony ludźmi, coby na studenta jakąkolwiek uwagę zwrócili. Z honorarium jakie za to pismo otrzymał, udzielił mi 5 zł. reńskich; wiadomość o tem więcej niżeli o książce rozeszła się między kolegami, z którymi tę sumę upojony radością w większej części straciłem.

W ogólności nie znalazłem koło siebie ani jednej istoty, któraby moje zamiłowanie dzieliła, a właśnie w tym czasie uczułem potrzebę, nie tak obcowania z poezyą jak przyjaźni, które to uczucie w młodym wieku tak jest żywo zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń zawiązana trwać powinna wiecznie i żyć poświęceniem. Młodzieniec jeden, Karpiński, samem nazwiskiem zwrócił na siebie moją uwagę, choć nie był krewnym poety, i do poezyi najmniejszego nie czuł powabu. Powolny, cichy, jak anioł niewinny, zajął całe me serce i stąd ten tylko zysk odniósł, iż go gwałtem trapiłem, aby odpowiednie imieniu był poetą. Dobroć jego czyniła, co mogła, jam zachęcał, pomagał, ale to nie szło, ubogi i słabowity przestał do szkół chodzić i więcej o nim nie słyszałem.

W Adamie Chłędowskim spodziewałem się znaleść skarb, któregom pragnął; wychowanie jego było staranne w domu; miał wiele książek, map i rysunków; był jednym z najzdatniejszych i najciekawszych, ale przesadzonej mojej sentymentalności wcale nie odpowiedział. Pisałem do niego wiersze pełne uniesień przyja-

źni, kochałem go tem więcej, że wzajemności nie widziałem; jego ton zawsze żartobliwy, dobry byt w porównaniu z mojem ubóstwem, czyniły mnie do niego nieśmiałym, i często w samotności płakałem nad moją nieszczęśliwą przyjaźnią. Bywałem jednak u niego aż do czasu, gdy stryj jego z prowincyi przybył, i ujrzawszy mnie i po moich ubogich sukniach osądziwszy, chcąc synowca swego od złego towarzystwa uchronić, groźnym tonem kazał mi się oddalić, co na mnie takie sprawiło wrażenie, że z Chłędowskim wszędzie wszelkiej unikałem rozmowy, i poznałem, iż to zdarzenie było dla niego obojętnem. Do dziś dnia łączyły mnie z Chłędowskim różne stosunki, ale żaden ślad dawnej przyjaźni odnowić się nie mógł.

Nakoniec znalazłem przyjaciela, jakiego sobie tylko egzaltowana moja wyobraźnia wystawić mogła. Był to syn profesora, Parczewski Karol, o parę i więcej lat odemnie młodszy, pobożny, pracowity, w mych czasach piękny, jak anioł, zawsze uniesiony, pełen do poezyi skłonności. Zdarzenie zbyt smutne było początkiem naszej najgorętszej przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki Biały kąpać się, gdzie kolega nasz Przygodziński daleko się oddalił i niepostrzeżony od nikogo utonął. W kilkanaście dni już znaleziono jego ciało okropnie oszpecone i przywieziono do domu. Całą noc po tym widoku nie spałem i łzami papier polewając, napisałem Elegią na śmierć nieszczęśliwego, jedyna poezya którą spółkolegom przeczytałem, która ich wszystkich zajęła, jako wynikła z zdarzenia, które na wszystkich uczyniło wrażenie. Nawet profesorowie pochwalili tę moją pracę, a młody Parczewski ze łzami rzucił się w moje objęcia, nie mogąc słowa wymówić. On przyprowadził do mnie nieszczęśliwą matkę Przygodzińskiego, która dowiedziawszy się o okropnym losie syna, z prowincyi przybyła. Ona rzewnie płacząc ściskała mnie, według jej wyrazów,

jak syna, i dziękowała za biedne wiersze o nim, które jej doszły. Mało kto może uwierzy, że to był dla mnie pierwszy uścisk kobiety i matki, że to było u mnie rzeczą nadzwyczajną, i żem płakał, jak małe dziecię, myśląc, że nie mam Matki, któraby na mój zgon była podobnie tkliwą.

Ani Parczewski, ani ja nic nie wiedzieliśmy o sławnej przyjaźni u Greków, ale wzajemne nasze przywiązanie było nadzwyczajne, i śmiem powiedzieć, przypominało przyjaźń grecką. Pisaliśmy do siebie nawzajem wiersze pełne naszych najżywszych uniesień przyjaźni, przy powitaniu i żegnaniu na parę godzin nie mogliśmy się od ust oderwać, niceśmy nie mieli skrytego, nic osobnego dla siebie. Uczucie pobożności wzbiło nas do takiej pobożności, żeśmy po kościołach, po cmentarzach razem chodzili, na klęczkach się modlili; on za mnie, ja za niego, on za moich zmarłych, ja za jego żywych rodziców. Płakaliśmy razem z rozrzewnieniem, jak ludzie najszczególniejsi i kryli się przed płochą młodzieżą, któraby nas z tych uczuć wyśmiewać mogła. Z nim zapomniałem o wszelkiej sztuce w poezyi: uczucie, i tylko wzajemne dla siebie uczucie, nas zajmowało. Płakaliśmy, ściskali się, gdyśmy co razem swojego lub obcego czytali. Martwiłem się skrycie, żem jego niegodny; postać jego była ujmującą: rumieniec przy białości i przy krętych włosach płowych, ubiór staranny, a najwięcej piękne polorowne ułożenie, czyniły go w moich oczach czemś niezmiernie wyższem nademnie. Ja dzikości mojej dotąd nie pozbyłem się, i ubiór był ułożeniu memu odpowiedni; sam jeden chodziłem w surduciku z płócienka z czarnemi prążkami, c mnie dziwnie oryginalnym czyniło.

Po długich prośbach i wahaniu się, ośmieliłem s wejść do jego rodziców. Ojciec, prosty i poczciwy, z ecił mi uczyć się pilnie języków, i przyjął bezpłatnie

na lekcye języka francuskiego, który on jeden prywatnie w Tarnowie wykładał. Matka wdała się w moje domowe potrzeby, które, jak dla mnie były istotnem dobrodziejstwem, tak truły we mnie dotąd tak czyste uczucia przyjaźni; tłumiłem je w sobie, jątrząc się myślą, czy podejrzane nie będą.

To zaczęcie życia prawdziwie dla mnie elizejskiego, przerwane zostało oddaleniem się mojem na wieś do Służewa, gdzie ugodzony byłem do 4 synów, których miałem być instruktorem. Służewski był obywatel na jednej małej wiosce, mający 7 synów, dla których całe życie poświęcał. Sześć tygodni tylko w tym domu przepędziłem, gdzie panowały staropolskie obyczaje, pro stota i zgoda domowa; byłyby (one) dla mnie przyjemne, gdybym był w stanie podołać moim obowiązkom, prowadzenia czterech niezmiernie żywych wyrostków, z których dwaj nie o wiele młodsi odemnie byli. Na szlachectwie tu także bardzo wiele zakładano i dla tego obiecywałem sobie nieprzyjemność, gdy tamże zastałem moją dawną wdowę panią Putiatycką, która podupadła na biednej swojej fortunie i na zdrowiu, i w tym domu jako krewna przytułek znalazła; lecz ujrzałem ją nader uprzejmą i pełną dla mnie dobroci, ku czemu posłużyła szczególniej następna okoliczność. Uboga moja garderoba dochodziła do tego stanu ostateczności, tak dalece, że zmuszony byłem jedyny mój surducik igłą od zupełnego rozprzężenia jego części ratować, zwłaszcza na dzień imienin gospodarza domu. Dla spokojnego odbycia tej operacyi udałem się w gęstwinę nad strumykiem, gdzie się lubiłem z moim ołówkiem przechadzać. Kiedy w największej spokojności dzieło moje do połowy doszło, z niemałem pomięszaniem ujrzałem przed sobą panią Putiatycką. Niepodobna mi było zarzucić sukni będącej właśnie w robocie, ani śmiałem stanąć przed damą nawpółrozebrany. Z największą jednak a-

godnością wyprowadziła mnie sama z ambarasu, unikając wszelkiego zawstydzenia; rzuciła znawczem okiem na moją pracę, uczyniła krytyczne objaśnienia, w końcu podjęła się sama restauracyi mego surduta i spiesznie oddaliła się po lepsze igłę i nici. Jakoż po krótkiem posiedzeniu dzieło zostało ukończone; wśród roboty usłyszałem dosyć dorzecznych morałów o pracowitości i znoszeniu ubóstwa; nakoniec względne przyrzeczenie, że ten wypadek zostanie między obojgiem świętą tajemnicą. Miałem dla tej damy największy szacunek, a ona była dla mnie uprzedzającą.

Po feryach udałem się z mymi elewami do Tarnowa. Dla pięciu najęty mieliśmy alkierzyk u krawca, z taką ugodą, iż gospodyni obowiązana była gotować nam żywność, którą posłaniec ze wsi co sobota na plecach przynosił, z pewną sumką na mięso, cztery razy na tydzień w mieście kupowane; miałem na spiżarnię obszerną skrzynię, której byłem szafarzem. Przy takiem mieszkaniu stałe miałem wynagrodzenie 25 ryńskich na rok. Tem i parą innych lekcyj opędzałem wszystkie moje potrzeby, gdyż od opiekuna i od krewnych już żadnej nie miałem pomocy.

Z Parczewskim żyliśmy jak dwaj bracia, i matka jego okazała dla mnie macierzyńską troskliwość. Zapobiegała różnym moim potrzebom i w przypadłej chorobie wszelką dawała pomoc. Czytaliśmy bardzo wiele, gdyż miał sposobność dostawania z różnych miejsc książek; między żytem, po swojemu schronieni, przeczytaliśmy »Iliadę Dmóchowskiego« i »Wybór pisarzów polskich«, których Mostowski zaczął wydawać. Więcej jednak niż wszystko zajęły nas »Nocy Jounga«, prozą, w Lublinie wydane; dręczyliśmy biedną jego matkę, c ytając jej jednotonnie to dzieło mimo wzniosłości d ść z siebie nudne.

Kończąc już ostatnią klasę szkół, zacząłem uczuwać niespokojność o moją przyszłość. Ile opiekuna wyrozumieć mogłem, dał mi do poznania, że najlepiej będzie udać się gdzie do dworu za pisarza, lub wejść do wojska austryackiego, i raz mi powiedział: »żołnierzowi prostemu bardzo przystoi, gdy po mustrze przy książce spoczywa.« Niewola uczenia dzieci zdała mi się nieznośną; macocha ujeżdżała często 4 konie w paradnym pojeździe po rynku tarnowskim, lecz ani o mnie kiedy się spytała, ani ja do niej zgłosić się nie śmiałem.

Po utworzeniu księstwa warszawskiego zaczęły nas dochodzić niektóre gazety warszawskie; coraz powszechniejsze były rozmowy o niej i o Polsce, mnie najwięcej zajmowały literackie wiadomości. Czytałem o biskupie Albertrandym, i ktoś wystawił mi bardzo jego gorliwość i zamiłowanie w ludziach, oddających się naukom. Snowałem więc różne projekta dostania się do Warszawy, ale widziałem zupełnie moją niemożność przy takich środkach; zebrałem, co mi się najlepszego z moich rymów zdało, napisałem list pełen zapału do biskupa Albertrandego, prosząc, aby mnie do jakichkolwiek usług w Warszawie przyjął. List ten nie miałby był zapewne skutku, gdyby był doszedł, lecz odebrałem go napowrót z poczty, gdyż właśnie w tym czasie Albertrandy żyć przestał. Oddano mi go odpieczętowany z połajaniem, gdyż był pełen niewczesnych patryotycznych uniesień.

Trudno sobie wystawić, jak mało mieliśmy wszyscy młodzi wyobrażenia o naszej Polsce, o jej dziejach i stanie; miłość ku niej żyła tylko wrodzonem uczuciem, niedokładnemi tradycyami i jakąś przez zwyczaj szkolny odziedziczoną nienawiścią ku Niemcom. Ja ej nienawiści nie czułem; malowanie pięknej natury w n emieckich poetach najwięcej mnie zajmowało, przyw ązały mnie oraz do ich kraju i ludzi, których sobie a-

wsze po Gesnerowsku wyobrażałem. Nawet w towarzystwie uczniów (Niemców?) upatrywałem w ogóle więcej przyjemności, może stąd, iż powszechnie byli prześladowani, ale więcej dla tego, iż mieli więcej słodyczy i przywiązania do kraju, chociaż mniej bystrości. Młodzież polska była wtedy daleko więcej niż dzisiaj nieposkromioną. Bitwy z wieśniakami z okolic (nie mówię już o Żydach), rabowanie w żołnierski sposób owoców, grochu, rzepy z pola, wyzywanie na kije, były to zwyczajne zabawy.

Uczucia i rozmowy patryotyczne odzywać się zaczęły od roku 1806, i mnóstwo młodzieży przez rozmaite dowcipne sposoby umiało się przedrzeć do szeregów Napoleona, i każdy z nas zakładał sobie, iż w tym tylko celu dorasta. Zjawiły się śpiewy patryotyczne i dysputy o polityce, z któremi zawsze udawaliśmy się do lasu. O wolności, o prawach człowieka nie mieliśmy żadnego wyobrażenia; całą podnietą naszych uniesień było imię Kościuszki i Dąbrowskiego, strój polski i język. Księstwo Warszawskie zdawało nam się krajem cudów, ziemią obiecaną; wszelkie, i groźne i łagodne środki ku zwróceniu nas od okazywania tych uczuć, były daremne. Przysłano raz z Wiednia pieśń niemiecką, to jest modlitwę za cesarza, aby w kościele śpiewaną była przez uczniów; kilku najstarszym, którzy zwykle podczas śpiewania zaczynali, zalecano wyuczyć nas tej pieśni do śpiewania w kościele. Nauka odbywała się w polu, bez świadków, wynaleziono więc do tej pieśni nutę mazurka, i tak wyuczeni zaczęliśmy ją śpiewać z całej mocy w kościele. Zdziwieni i nieszczęśliwi profesorowie, obiegając nasze szeregi, nie mogli przerwać tej niedorzecznej nuty. Przewódcy nasi skazani byli na klęczenie w środku kościoła przez msze całego roku, lecz wszystka młodzież umówiła się z nimi razem tę karę odbywać. Łagodny rząd austryacki całą tę prawę w kilka dni umorzył. W roku 1809, przed

rozpoczęciem wojny, sztabowy oficer delegowany do naszych szkół, odczytał odezwę, zachęcając, aby młodzież udawała się w szeregi do obrony cesarza i państwa austryackiego. Po mowie z wielkim zapałem wynurzonej (?) zapytał, czy jest kto gotów bronić sprawę ojczyzny i króla. Po długiem milczeniu złośliwy jeden kolega wymówił moje nazwisko, kazano mi wystąpić na środek: szczupły, zdziwiony, a więcej jeszcze przelękniony, wzbudziłem śmiech powszechny w delegacyi, profesorach i uczniach, i w taki sposób zakończyła się ta scena patetyczna.

W tym czasie wydał był Collin, poeta, w Wiedniu pieśni patryotyczne; poezye te były pełne czystej miłości Ojczyzny, uczuć ludzkości i pięknych wiejskich obrazów i tak mnie zajęły, iż nie wchodząc bynajmniej, iż to Niemiec dla Niemców przeciw Francuzom, obrońcom Polski pisał, w kilka dni z łatwością, jakiej dotąd nie czułem, wszystko wierszem polskim oddałem. Nie widziałem w tem nic nieprzyzwoitego, lub przeciwnego dobremu Polakowi; owszem zdawało mi się, że te uczucia są polskie, i nie mając myśli żadnych wyrzutów, czytałem ją przyjaciołom, którzy tylko radzili mi zmienić miejsca, gdzie była wzmianka lub o Niemcu lub o domu Habsburgskim. W kilka dni, gdy się ta moja praca rozeszła, wezwany zostałem urzędownie do kapitana cyrkułu. Trzymając w ręku pięknie pisane wszystkie te pieśni, oddał pochwałę memu patryotyzmowi, z czego obecny prefekt szkół niezmiernie się cieszył i mnie w głowę całował. Urzędnik oświadczył nakoniec, że ten mój przekład przesłany będzie do Wiednia, że mu znajomy jest mój stan, że zatem przedstawi mnie do instytutu Terezyańskiego w Wiedniu, gdzie na koszcie cesarskim wyższe nauki pobierać i ciągłej opieki doznawać będę.

Zadziwienie i radość moja chwilowa trudna jest do opisania. Być w Wiedniu, pobierać wyższe nauki, mieć zapewniony dalszy sposób do życia, było to szczęście, które w ostateczności mojej jak z nieba mi spadło. Nie pojmuję skąd to poszło, że z kolegów tyle tchnących nienawiścią ku Niemcom, tyle zajętych toczącą się wojną w księstwie Warszawskiem, żaden nie dał mi uczuć nieprzyzwoitości mego położenia. Z tem samem niewinnem uczuciem, z jakiem tłumaczyłem Collina, składałem pieśni patryotyczne polskie, z których kilka jeszcze dotąd mi się dochowało; kilku już kolegów, mimo surowego zagrożenia szubienicą, zniknęło udając się do wojska polskiego; mnie nikt nie namawiał do tego, bo znaną była powszechnie moja słabowitość i zupełna niesposobność do wojska. Tymczasem wszystkie moje marzenia o szczęściu w Wiedniu przemogła tęskność do kraju, który mógł nazwać się polskim. Całe wieczory trawiłem samotnie w Polsce, ze łzami wylewałem na papier różne uczucia, jakie mną miotały, czyniłem sobie wyrzuty, stanowiłem ujść do wojska polskiego, lecz natura moja wzdrygała się od wszelkich wojen. Parczewski odwodził mnie od myślenia o tem, ale uczucia zdawał się podzielać.

Przypadkiem zasłyszałem o jednym uczniu Niemierzycu, o 4 może lata młodszym odemnie, który miał zamiar do Polaków się udać. Jeden wieczór rozmowy ustalił nasze postanowienie, przedsięwzieliśmy nazajutrz wyruszyć. Pomógł do tego oficer polski przebrany, który przepisał nam drogę i przyrzekł pomoc obywatelów. Tego samego wieczora udałem się do Parczewskich, zwierzyć się mego zamiaru. Ojciec chciał niby o tem nie wiedzieć, matka i syn, lubo z płaczem, przystali na to. Rano nazajutrz o świcie udałem się jeszcze do nich; od matki otrzymałem naprzód medalik z Matką Boską w skórkę obszyty, który mi kazała na pier-

siach nosić, trzy dukaty w złocie i kilkanaście reńskich, a nawet paczkę szarpii. Po rzewnem błogosławieństwie i dziękach, pożegnałem przyjaciela i dobrodziejów, i w połączeniu z towarzyszem przygód ruszyliśmy polami w naszą podróż. Staranie tymczasowe o moich elewach aż do przyjazdu ojca przyjął na siebie Parczewski.

URYWKI Z DZIENNIKA

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO

z roku 1813.

Dnia 29. Kwietnia, obóz pod Krakowem.

Ruszyliśmy z Krakowa do obozu pod Promnik: radość na wszystkich twarzach jaśniała, bo szliśmy w nadziei walczenia. Ku wieczorowi, gdy ogniska żarzyć się poczęły, wyszli niemal wszyscy mieszkańcy z Krakowa. Pożegnania, noszenie nam posiłków do obozu, czyniły nam przechadzki z nimi prawdziwie rozrzewniające, deszcz przez całą noc moczył nas do nitki.

Dnia 30. Kwietnia. Skotniki.

Na godzinę 11. dostaliśmy rozkaz wymarszu, nikt nie był pewny gdzie? Wojsko austryackie nadchodziło, zajmując stanowisko obozu naszego. Ruszyliśmy przez miasto na Podgórze, przechodu tego nikt nie był nierozrzewnionym świadkiem. Przyjaciele i krewni wychodzili przed domy ze łzami w oczach, podawali dłonie wychodzącym. Po tylu trudach i wytrwaniu, któżby nie był smutny, opuszczać ostatni szczątek ziemi, i iść pomiędzy obcych! Scena prawdziwie wielka i rzadka! Z Podgórza podzieliliśmy się na różne drogi. Brygada druga, w której jestem artylerzystą, udała się do Skotn'k. Rozdzieliłem się prócz zostałych w Krakowie pr yjaciół, z kilkoma dobrymi kolegami. Z pułkowniki m W. stanęliśmy w małej izdebce wieśniaka. Zeszliśn · się wieczorem, z całej brygady oficerowie, na środe wsi, i późno w noc zabawiliśmy się nad różnemi

uwagami o przyszłym losie naszym. Jenerał G. bardzo mi się podobał: nagradza on słabe siły fizyczne rozsądkiem i wiadomościami, powagę swoją grzecznością oswaja, a wiek podeszły wesołością w posiedzeniu odżywia.

1. Maja. Tamże.

Dzień najpiękniejszy! Przechadzka dzisiejsza pamiętną mi będzie. Natura wdziała dzisiaj najuroczystszą szatę, a my w tak żałobnej chodzimy! Wszystko rozkwita: widzę przed sobą już nie nasz Kraków, za sobą już wsi zagraniczne!...

Okolice Skotnik są w pięknem położeniu, leży wieś na płaskiej górze, którą dolina w koło jak woda opasała. Kraków rozciąga się przed oczyma, gęsta mgła tylko, jakby całun żałobny, unosi się nad nim, w około widać góry. Bielany ze św. Bronisławą walczą tak, jak ponurość z przyjemnością: na lewo od Bielan ciągnie się płaszczyzna, przez którą Wisła kryjąc się między małe wzgórza i krzemieniste skały, jakby błąkająca się, kręto pod Wawel ucieka. Okazała góra Landskorony czerni się zdala przy wzniosłych Karpatach. Dano znać, że most na Podgórzu przygotowano do spalenia. Korpus austryacki przechodzi Wisłę.

2. Maja. Tamże.

Było dziś kilku przyjaciół z Krakowa odwiedzić nas, przy żegnaniu się powiedzieliśmy sobie: *Kilka iskier na most, a kto wie, kiedy się obaczymy!* Wieczorku majowy nad Wisłą! winienem ci kilka słodkich godzin. Tyniec, zawieszony na skale nad Wisłą, mieści te aż nieszczęśliwych rannych, pamiętne tu złe i dobre czasy, ale nigdy tak smutne. Nocne straże rozniecił ognisca, dymy, kłębami się wznoszące, brudzą lazurowe sklepie-

nie. Grób Krakusa unosi się nad Krakowem, między obozowemi ogniskami.

3. Maja. Tamże.

Miło z brzegu w ocean patrzać rozhukany,
Jak okrętem miotają gniewliwe bałwany,
Nie, by nam słodkie były przykre innych losy,
Lecz znośniej widzieć obce, nieznane nam ciosy.

O! jak te słowa lubię często powtarzać z tobą Lukrecy! ciebie szczęście, mnie nieszczęście nauczyło tej prawdy.

4. Maja. Tamże.

Wojska austryackie zajęły prawy brzeg Wisły, promyk dla nas nadziei, przechodzą i Wisłę, zajmują Kraków, odbierają wszystkie poczty, a my jeszcze dalej, pomimo nadziei walki, posunąć się musimy. Oficerom naszym zakazano bywać w Krakowie.

Płk. M. jest mąż prawdziwie dojrzały, z wielkim rozsądkiem, tkliwy w uczuciach i stały w przedsięwzięciu, ile rozsądku, tyle charakteru dobrego posiadający: z nim w tkliwych rozmowach przepędziłem kilka godzin drogich, bo jeszcze między swoimi. Szacunku, jaki mam dla tego człowieka, wyrazić nie jestem w stanie.

5. Maja. Tamże.

Odwiedzała nas w naszej stodołce Pani D. z córką. Przy pożegnaniu nie obeszło się bez łez. Kilka czułych biletów odebrałem z pożegnaniem.

6. Maja. Tamże.

Jutro wychodzi pierwsza kolumna za granicę, wed ıg otrzymanego rozkazu Księcia. Rozkaz ten, jako p goda po burzy, uspokoił nieco skołatane serca nasze.

7. Maja. w Siennicy.

Rozkazano, aby w godzinę gotowym być do marszu. Smutno mi się zrobiło. Uchwyciłem chwilkę czasu, aby wybiegnąć na ustronie, i kilka łez uroniłem, których nie wstydziłem się przed Niebem: od Nieba szczęście i niedola! jemu się więc oddałem, prosiłem o opiekę, przywiodłem na myśl moje nieszczęścia, a że na nie nie szemrałem, byłem w nadziei jakiejkolwiek kiedyś za nie nagrody. Nieszczęść do dziś dnia w przeciągu roku dosyć zniosłem. Oto w nim dla mnie smutne zdarzone straty: K... młodzieniec pełen, jak Maj, nadziei, którego ja sam wywiodłem na pole boju, zginął mi przy Możajsku; kto go tylko znał, kochał tak jak ja, a wszyscy czynili mi o niego wyrzuty. O! smutne zakończenie przyjaźni! Cieniu drogi! gdybym wiedział, że ci nagrodzę życie i stratę twą przyjaciołom, gotówbym znieść większe jeszcze cierpienia nad pamięć o stracie twojej! — R. (Reklewski) dla którego zaciągnąłem się do jednej brygady, pod którego rozkazami, przyjaźnią i dobrodziejstwy żyłem: wielka nadzieja Rycerstwu, naukom i Muzom znikł i wszystko z nim znikło! Po chwalebnej u Smoleńska czynności, zachorował: woziliśmy go w tak przykrych marszach ze Smoleńska aż milę do Rożestwa, (koło Kaługi) stamtąd w ostatnich słabościach pożegnałem go jadącego do szpitala do Moskwy, gdzie ledwo dojechawszy opuścił nas wszystkich! Strata jego, prócz wiecznego żalu, miała wpływ na dalszy los mój nieszczęśliwy. Dowódca mój, Polux poprzedzającego, który losem moim starał się kierować, pożegnał nas na polu bitwy z urwaną nogą po biodro. Mój S. mój P. w niewoli. Tylu zabitych i wziętych innych! Brat mój nakoniec Jędrzej, który mi zazdrościł, że nie dzielił walk przy Smoleńsku, Możajsku i t d., bo został Adjutantem placu w Szkłowie, gdyśmy się

cofali, złączył się z pułkiem, szedł z nami dni trzy, wśród bitwy nad Berezyną dano mi znać, że jest ranny: szukam go między trupami, znajduję już obnażonego i w samo czoło karabinową ugodzonego kulą. Straciłem w nim, co miałem najdroższego na ziemi! tylko już to mnie pozostało, że mogę sobie powiedzieć, iż nic już nie mam do stracenia. — Krewny mój R., którego także do wojska zaciągnąłem, pozostał mi chory przed Berezyną, i ja który byłem przyczyną jego straty, musiałem sam tę smutną wieść rodzicom oznajmić. Boże! czyliż czekają mię jeszcze podobne chwile! Wierny ordynans, który mię we wszelkich nieszczęściach wojny pocieszał, z końmi i rzeczami pojmany i zabity. Słabością, smutkiem i nędzą obciążony, szedłem sam jeden, (kompania moja już zupełnie była rozbita) przez Kowno za Niemen, bo idąc nocą minąłem przy Wilnie nasz już nieznaczny korpus, który potem udał się w lewo; dwie już mile uszedłszy, dopiero dowiedziałem się o tem, kiedy do tej drogi już wrócić nie można było. Za Niemnem dopiero spotkałem podoficera znajomego, który mnie nakarmił i pieniędzmi nieco zasilił, wziął na sanki, jakie z parą koni zdobył. Pocieszony nieco spieszyłem ku Warszawie. Ścigani od Kozaków ku Marjanpolu musieliśmy się udać przez Prusy, gdzie na pierwszym noclegu okradziono nas ze wszystkiego, z koni nawet i sanek. Pieszo zatem znowu i żywieni litością szliśmy dalej. Poczciwy obywatel w Prusach zapomógł mię tyle, że przecie mogłem się dostać do Warszawy. Nieszczęsne wojny! Kiedyż mu będę w stanie za to odwdzięczyć. Wytchnąwszy i przyodziawszy się nieco w Warszawie, musieliśmy wkrótce z niej ustąpić. Dobry M przywiózł mię na swej bryczce do Krakowa. Tam p zysłał mi opiekun uwiadomienie, iż nic się z Galicyi m ıjątku spodziewać nie mam. Nie strata szczupłego m jątku, ale stan potrzeb moich prawdziwie mię zasmu-

cił. Stryj mój przysłał mi cesyę na sumkę leżącą w depozycie krakowskim, ale dniem później, gdy depozyt został wywieziony. Iść bez oporządzenia i konia w marsz, opuścić kraj w takim stanie, cel wędrówki tak ciemny, tyle wszystkiego! nie podobna, aby nie zasmuciło. Otoż taka to od początku roku była moja przeszłość.

Przyszliśmy do obozu pod wioskę Siedziny, stanęły działa na pięknej łące przy młynie.

8. Maja. Kalwarya.

O 4-tej z rana ruszyliśmy w marsz ku Mogilanom ($1\frac{1}{2}$ mili) gdzie natenczas była Komora graniczna Austryi, jeszcze widać szczyty Krakowa. Mogilany leżą u podnóża wysokich gór.

Próżno się za swojemi stokrotnie ozierać,
Przedłużać pożegnanie i żale wywierać,
Trzeba iść i opuścić ukochaną ziemię,
Unieść męczarnie smutków i niedoli brzemię.

Przed samą granicą odbyła kolumna nasza rewię, po której defilowały pułki przez rogatki. Austryacy po obu bokach gościńca pozastawiali plutony jazdy i piechoty z muzyką. Generał komenderujący wystąpił z oficerami przeciw nam, muzyka ta i parada dodawały nam rozrzewnienia. Stanęliśmy na nocleg w Kalwaryi. Klasztor w rozkosznem położeniu, ma być ze wszystkiem podobny do miejsc cierpienia Chrystusa. Żebractwo po drodze wszędzie się przykrzy. Ku wieczorowi poszliśmy do klasztoru, księża przyjęli nas grzecznie, prosiliśmy o oprowadzenie nas po ciekawych miejscach w kościele, nic godnego uwagi. Kaplic i małych kościółków po wzgórzach rozrzuconych mnóstwo, domki Heroda, Kajfasza i t. p. zupełnie według wymiaru jak na Ziemi świętej stawiane. W jednym kościółku godne widzenia

cztery obrazy Bernardyna Franciszka Lexyckiego, które mimo kurzu, jaki kilka razy do roku pospólstwo, czołgające się na kolanach, na te obrazy wznosi, nic żywości nie utraciły. O zamku Landskorony, nie mogliśmy się nic od księży dowiedzieć. Imię tylko fundatora, (Zebrzydowski) i dzień jego urodzenia dokładnie wiedzą. Zapytaliśmy o bibliotekę i namieniliśmy, że muszą być w niej potrzebne w tym względzie wiadomości. *Musi tam być coś o tem,* odpowiedzieli, *bo mamy różne książki in folio* i *oktawo.*

9. Maja. w Choczni.

Nocowaliśmy ćwierć mili za Wadowicami, w chałupce u kościółka, w cieniu rozległych drzewin smętarza nad rozkosznym strumieniem. Z W... wyszliśmy wieczorem na przechadzkę po deszczyku majowym, na piękną łąkę.

10. Maja w Kętach.

Był to ciepły po deszczu poranek, kiedy kolumna zebrała się do Kobierzyc i udała się w drogę. Gościniec bity prowadzi około pasma gór Karpat do Kęt, wodząc oko po najpyszniejszych widokach. Stanęliśmy na nocleg w mieście, prostota górali i Szlązaków, którzy się zeszli na jarmark, przejmowała nas weselem. Prawie całe popołudnie strawiliśmy z niemi najmilej. Stałem na końcu miasta już przy samych górach. Siedzieliśmy przed domkiem, koło którego do gór swoich wracali górale, każdy prawie podchmielony. Najmilej nam było zaczepiać tych dobrych chłopków, i rozmawiać z nimi. Ich otwartość, ich wynurzanie się z miłością ku nam, jak było ujmujące, wyrazić nie łatwo. Nie mają oni tej dzikości, którą ludzie prości, nawet koło na-

szych wielkich miast, okazują. Zasiadłszy z nami ławki, rozmawiali jak ze swymi sąsiady. Mojego W. zobaczyłem idącego w gronie tychże górali i góralek: zawołał tylko zdala do mnie, że jest najszczęśliwszy! i daleko ich odprowadził. Wieczorem zabawiliśmy się z kilkoma obywatelami, którzy się ze wsi pozjeżdżali dla zabawienia z nami. Wśród tkliwych, serdecznych wynurzeń, rozeszliśmy się po północy. W dzisiejszym marszu szliśmy sobie z W. razem naprzód piechotą. Wstąpiliśmy do księdza, który nas uprzejmie przyjął. Ostatni to raz już prawie bawimy z rodakami. Po wyjściu stamtąd, spotkaliśmy pocztę bardzo spiesznie jadącą, nie wiedzieliśmy kto był w powozie, ledwie nas minął, gdy jadąca nieco w tyle za nami jazda, poczęła kilkakroć wołać: *wiwat!* Ciekawi, wróciliśmy i usłyszeli, że to był Jenerał Sokolnicki z placu boju od wielkiego wojska jadący, doniósł on nam wiele przyjemnych wiadomości, a między innemi i to, że wkrótce wojsko nasze inny weźmie obrót. Cała kolumna przechodząca zatrzymywała go po kilkakroć, każdy pułk wykrzykiwał wiwaty. Chwila ta była najżywszym obrazem prawdziwej radości: muzyka grać poczęła, wojsko śpiewało najochotniej. Przed każdym ubogim, siedzącym wtenczas przy drodze, leżały stosy chleba, który im nasi żołnierze podawali, dziękując Bogu za pomyślne nowiny. W Andrychowie mieliśmy odpoczynek, spełniliśmy najochotniej toasty za zdrowie cesarza.

11. Maja. w starym Bilsku.

Przeszliśmy przez Bilsko do wsi starego Bilska o kilka godzin różnica, a już zupełnie inny: lud, język i zwyczaje. Jutro mamy odpoczynek, słychać głośno, że tu się zatrzymać i inny obrót wziąść *(sic!)* mamy

12. Maja. Tamże.

Boże wielki! Kto w Tobie swą ufność położył,
Milej zapewne skonał, niż nieufny ożył.

Tak napisałem sobie po nowinach, które nam z miasta przywieziono. Wszyscy nasi pojechali do Bilska. My oba z M. zabawiliśmy razem całe popołudnie.

13 Maja. w Podgórzu.

Zebrała się rano kolumna za wsią Löbnitz. Ledwie od Bilska uszliśmy sto kroków, gdy przybiegł od księcia goniec, aby się kolumna zwróciła na swoje stanowisko. Jeden drugiego z tą uprzedzał nowiną: rozkaz ten tuszył nam pewny powrót, nie widać było nikogo bez oznak wielkiej radości. Wróciłem do starego Bilska, i gdy za parę godzin zasnęliśmy z M. dano znać o rozkazie do marszu, gdzie?... do Skoczewa! Dlaczegośmy wracali i czemu znowu wychodzimy, nie śmiem pisać, przecież to będzie jawno kiedyś. Stanęliśmy we wsi Podgórzu, ćwierć mili ku Skoczewu, w kilku przepędziliśmy resztę dnia, rozważając jak prędko znikły nasze nadzieje, i pytając co to dalej nas spotka?

14. Maja. w Bobrku.

W Ogrodzanach zebrani, przybyliśmy do Bobrka pod Cieszynem; gospodarz przyjął nas na kwaterze najuprzejmiej, rządność, gościnność tego człowieka, tak mi się podobały, że chodziłem za nim i przysłuchiwałem się gospodarskim jego rozporządzeniom. Deszcz dzień cały kropił. Spocząwszy wspomniałem sobie na słowo Chateaubrianda: *Szczęśliwy kto nie widział dymu obcej biesiady, i kto tylko przy ucztach ojca swego siadywał.* Tak śpiewał murzyn, gdy po odmówionem mu wspomożeniu, wychodził z obcej chaty, podnosząc łuk, który

tam wchodząc oparł o ścianę. Ja memu gospodarzowi nie mogę tak śpiewać, lecz mówić mogę:

Szczęśliwy! kto na własnej osiadłszy zagrodzie,
Nie chodzi w świat o swojej i o cudzej szkodzie,
Ten kto może obcego posilić w swym domu,
Stu zobowiązał, sam nic nie winien nikomu.

15. Maja. w Dobrau.

Przybyliśmy do wsi Dobrau, pod miasteczko Frydek; przez piękne miasto Cieszyn tylkośmy przejechali, deszcz z wiatrem nielitościwie nas prześladował. Oddałem się całe pół dnia samotności i rozmyślaniu: jeśli rzadcy, są to bardzo przyjemni towarzysze.

16. Maja. Tamże.

Mieliśmy tu spoczynek. Zeszli się do nas wszyscy prawie koledzy i bawiliśmy razem. Deszcz przeszkodził mi zwiedzić piękne tej wsi okolice.

17. Maja. pod Frydkiem.

Przeszliśmy przez piękne miasteczko Frydek, podobała się nam bardzo piękna oberża, pod wizerunkiem cesarza austryackiego. Pytaliśmy, jak na to pozwolono? Odpowiedziano, że cesarz Józef, objeżdżając swe kraje, nocował w tej oberży, a za dobre przyjęcie od gospodarza, pytał go, czemby chciał, iżby mu to wywdzięczyć? Gospodarz żądał tylko, aby mu wolno było na tę pamiątkę mieć austeryę pod znakiem cesarza, na co Józef zezwolił.

Gdy dziś zajechałem do mojej gospodyni, tak się poczęła złościć i krzyczeć, że żołnierzom ledwo rzeczy z rąk nie wypadły, ja *obstupui steteruntque comae et vox faucibus haesit.* Usiadłem w kącie z pokorną r ną,

słuchałem głosu niepospolitego dźwięku i patrzyłem na twarz tak zaczerwienioną, jak najwyborniejsza toruńska cegła. W takim stanie przesiedziałem blizko godzinę, gwałtem zmuszając się do cierpliwości chrześcijańskiej. Ledwie później dowiedziałem się, że tę zemstę poniosłem za jakiegoś szczęśliwszego kolegę, który tu przedemną stojąc kwaterą, do dziewczyny okropnej tej pani mocno się przysuwał. On to więc był przyczyną całego mego strachu. Chcąc wynagrodzić jakożkolwiek obcesowość mojego towarzysza broni, gdy mi około wspomnionej dziewczyny trafem znaleść się wypadło, obchodziłem ją jak mogłem najdalej, ozierając się jedynie za imością. Ta pokora moja tak się nareszcie pani podobała, że odtąd od zbytniej grzeczności i oświadczeń omal nie omdlewałem. Panowie mężowie! ręczę wam, iż na złe żony lepszego nie znajdziecie sposobu nad cierpliwość i pokorę.

(Odtąd braknie: i dalej następują dwie jeszcze ćwiarteczki z dalszej daty).

9. Sierpnia. Witgendorf.

Pastora Szulmejstra i Oberforsztra spotkawszy w lasku na przechadzce, nachodziłem się z nimi kilka godzin. Pan leśniczy wychwalał wielką zdatność Polaków do myślistwa i ja, ile możności, chciałem go w tej utrzymywać opinii i o dowcipie niedźwiedzi naszych, lubo ich mało skąd więcej znam, jak z »Bajek Krasickiego«, nagadałem mu dosyć, opowiadałem z przydatkami, jak Kazimierz Wielki na polowaniu zginął i jak dawni Radziwiłłowie niedźwiedzie i jelenie do powozów swych zaprzęgali. Zapraszał mię pan leśniczy na tę pożyteczną zabawkę, której musiałem odmówić, chociaż z obawą, aby ten pan wysokiego swego mniemania o myślistwie naszem nie stracił. Wreszcie wszędzie, w każdym stanie, mniej więcej polujemy.

Król poluje za krajami,
Minister za majątkami,
Za urzędem urzędnicy,
Za pieniaczami prawnicy.
Filozof z poetą razem,
Za myślami i pegazem.
Żołnierz poluje za sławą,
Za pobożną duszą księża.
Fircyk goni za zabawą,
Dziewczę chce spolować męża.
Kupcy strzegą na młodzika,
Wierzyciele na dłużnika.
Mędrek w księdze, złodziej w skrzyni
Poluje, gdzieby co złowić,
Obmowca zasadzki czyni,
Jak co zbadać, lub obmówić,
Krytyk na cudzą robotę,
Zazdrośnik na cudzą cnotę,
Zgoła wszędzie, w każdym stanie,
Odprawiamy polowanie.

(dalej braknie, na drugiej zaś kartce to następuje).

»Niezawodne podobieństwo do wojny, straże przy parkach ścisłe, obozowanie i patrole się zaczynają. Przez granicę buską(?) już przejść nikomu nie wolno — miałem dzisiaj inspekcyę w parku, deszcz z wiatrem uprzykrzał się nam bez litości. Batalion piechoty zasłania park: porządkowaliśmy amunicyę i t. p. do gotowości. Zluzowany będąc wstąpiłem do kwatery P. — Domek wiejski, gustownej budowy i w bardzo przyjemnem położeniu. Przed deszczem schroniła się tam nie mała liczba oficerów. Gospodyni bardzo uprzejma, rozmawiała o niemieckiej i francuskiej literaturze z niepospolitą rzeczywiadomością. Byłem mocno ciekawy zobaczyć książki, w bardzo porządnej szafie; ale były same kucharskie.

Zaproszeni zostaliśmy wszyscy na obiad, o którym, znając stan biblioteki, niepoślednie miałem nadzieje. Przy końcu stołu przyjechał mąż pani, gospodarz domu, z Zittau. Bardzo pomięszany siadł do stołu i mało bardzo mówił, przerwał potem milczenie smutnym tonem, że nie ma nic pocieszającego, wojna już jest wypowiedziana z Austryą: sam jenerał Sułkowski oświadczył mu to i już jest w pogotowiu do marszu i w nocy pewnie wojsko wyruszy. Wiadomość ta odmieniła wszystkich humor: dobra gospodyni rozpłakała się, gospodarz dodawał wina i sam się pocieszał z nami. Żal nam było rozejść się, ale ciekawi byliśmy rozkazów naszych. Po łzach, uściskach, błogosławieństwach i politowaniach...

(Reszty nie ma: dalej następują trzy dopiski szwagra ś. p. Brodzińskiego).

1. »Przypominam sobie, iż czytałem przed kilku laty jeszcze jedną kartkę, dziś już zatraconą, w której opisywał lustracyę czyli powitanie wojsk polskich przez Napoleona. Tam, młody oficer Brodziński, okazał, że umiał czytać w głębi serc ludzkich, i że miał sąd trafny, przenikliwy, wyższy od powszechnie panującej wtedy opinii.

2. Wiernie co do litery powyższy dzienniczka urywek skopiowałem. — Holly.

3. Dziennik obozowy z dnia 7. Maja z Siennicy pisany przez Kazimierza Brodzińskiego może w części zastąpić biografię tego męża. Rzecz, towarzystwo, przypadki i uczucia, wszystko przez niego samego odmalowane, są najrzetelniejszym obrazem stanu duszy Autora. Wypada tylko dodać ogółową przed wejściem do wojsk o nim wiadomość: Urodził się r. 1791 w Galicyi, w cyrkule sandeckim, w starostwie lipnickiem. Ojciec jego kupił w tem starostwie na dożywocie od starosty, (zc mi się Ossolińskiego) wieś *Królówkę*... Oddany

był wraz z bratem starszym Jędrzejem do najbliższych i najlepszych wówczas szkół gimnazyalnych w Tarnowie, z pięciu klas złożonych. Przy ukończeniu tychże około r. 1809, wszedł do wojska, wiedząc zwłaszcza, jak sam powiadał, że mając pogrzebioną matkę, nie zrobi zmartwienia w domu, bo ojciec z siłą męską pobłogosławi go zdala. [1]). Odbył kampanię 1812 roku i nieprzerwanie był we wszystkich wypadkach wojennych przy artyleryi aż do bitwy pod Lipskiem, w której dostał się w niewolę. Z tej wypuszczony, bez funduszu, nie mogąc i nie mając po co wrócić do domu, bo ojciec odumarł, błąkał się tymczasowo u przyjaciół. Wkrótce otworzył mu się spadek po krewnych w Poznańskiem, który, dla potrzeby połowę ustąpiwszy, podniósł. W czasie ogólnego pokoju przybył do Warszawy, a czując sterane siły wojnami, przedsięwziął być użytecznym krajowi w innym zawodzie. Dalsze koleje jego życia są znajome spółczesnym, a znajdują się w aktach komisyi rządowej i w aktach emerytalnych. Szczegóły zaś jego domowego życia, rozmaite doznane w nich przemiany, przyczynę trawiącego smutku i w końcu śmierci, mógłby tylko wykryć sam Brodziński, bo ile głęboko czuł i myślił, tyle wszystko w głębi duszy swojej ukrywał«. — Holly [2]).

---

[1]) Holly nie wiedział, czy nie pamiętał, że ojciec Brodzińskiego już wtedy nie żył. (*Przypisek wydawcy*).

[2]) F. S. Dmochowski znał więcej tych urywków, skoro w swoim artykule *O życiu i pismach K. Brodzińskiego* powiada: »Ułamki z Dziennika podróży, czyli raczej pochodu wojskowego z Krakowa pod Lipsk, których część znajduje się w wydaniu wileńskiem dzieł Brodzińskiego, a blisko połowa pominiętą została, są także przeplatane wierszami i godne, żeby je w zupełnem wydaniu dzieł Brodzińskiego zamieszczono«. (Biblioteka warszawska, 1870, tom III, str. 371). *(Przypisek wydawcy)*.

Urzędowa autobiografia

Kazimierza Brodzińskiego

Opis biegu życia profesorów, nauczycieli szkół publicznych w Królestwie Polskiem. (Lit. B.).

Mam honor złożyć opis życia mojego, obejmujący:

1. wychowanie,
2. zawód wojskowy,
3. zawód administracyjny,
4. zawód nauczycielski,
5. literacki.

Dowodów szlachectwa nie mam innych nad ten, iż po zgonie ojca zostawałem pod opieką *Forum nobilium* w Tarnowie. Odbyłem tak zwane szkoły niemieckie normalne, tudzież gimnazyum w Tarnowie. Przez czas pobytu mego w gimnazyum profesorowie Parczewski i Szmidt udzielali mi prywatnie nauk i języków, w szkołach niedawanych, ostatni zaznajomił mię z literaturą niemiecką, obadwaj bez żadnego wynagrodzenia; za to niech mi tu będzie wolno wdzięczność tym mężom wyrazić. Wcześnie utraciwszy rodziców, gdy spadek po nich doznał prawniczego zawikłania, od młodości trudniłem się wychowaniem dzieci, jako sposobem utrzymywania się w szkołach. Za przełożenie w szkołach poezyi *Collina* otrzymałem od rządu austryackiego st pendyum i miejsce w Instytucie Wiedeńskim, ale ni doświadczenie i tęsknota do języka i literatury polsk ej nie dozwalały mi korzystać z tej łaski mojego rz du; udałem się do uniwersytetu krakowskiego, przy

którym przez półtora roku poświęcałem się naukom filologicznym i filozoficznym. W roku 1809, gdy wojsko Księstwa warszawskiego weszło do Krakowa, idąc za powszechną opinią, wszedłem w służbę artyleryi (pieszej) jako ochotnik. Odbyłem kampanię rosyjską i niemiecką; za Moskwą mianowany oficerem, pod Lipskiem wzięty byłem w niewolę, a utraciwszy siły i chęć do służby wojskowej, otrzymałem żądane uwolnienie.

Po krótkim odpoczynku na wsi udałem się do Warszawy w celu poświęcenia się służbie publicznej. W roku 1816 po bezpłatnem zasługiwaniu się w komisyi oświecenia wyznaczone miałem obowiązki zastępcy kancelisty; lecz gdy tu nie miałem innego zatrudnienia, jak ciągłe przepisywanie na czysto, prosiłem o uwolnienie, które otrzymawszy, udałem się do komisyi rządowej spraw wewnętrznych, gdzie dziewięć miesięcy jako bezpłatny adjunkt, a pięć jako płatny sekretarz w sekcyi administracyjnej zostawałem. Gdy wskutek traktatów wiedeńskich utworzoną być miała komisya likwidacyjna, trudniłem się z własnej ochoty przez pół roku przygotowaniem materyałów do prac tejże komisyi. Później mianowany zostałem sekretarzem tejże komisyi trzech dworów. Obowiązki moje pełniłem do końca roku 1820, w którym ta magistratura rozwiązaną została. Otrzymałem polecenia do wszystkich komisyj rządowych względem umieszczenia się w stopniu odpowiadającym, lecz dawniej już sposobiłem się do stanu nauczycielskiego. W roku 1817 Kamieński, prowincyał pijarski, któremu z pism niektórych tylko znany byłem, zaproponował mi dawanie lekcyi języka i literatury polskiej w konwikcie żoliborskim. Obowiązki te pełniłem od roku 1818 do roku 1822. Równie przez cztery lata dawałem dla młodzieży duchownej w seminaryum Pijarskiem naukę wymowy i poezyi. Przez rok 1819/20 dawałem lekcye literatury w szkole wojewódzkiej Pi-

jarskiej. W roku 1818 otrzymałem od K. Rząd. Spr. Wewn. nominacyę na nauczyciela literatury dramatycznej przy tutejszem konserwatoryum, od którego to obowiązku dla mych zatrudnień musiałem się wymówić.

W roku 1821 wezwany (zostałem) na profesora literatury w liceum warszawskiem z oświadczeniem, iżbym wraz wykładał kurs publiczny i w uniwersytecie. Później Kom. Rząd., wchodząc w słuszność moich w tej mierze przełożeń, raczyła mię wezwać do czytania kursu historyi krytycznej literatury polskiej w uniwersytecie. W roku 1823 Kom. Rząd... potwierdziła sekretarzem. Co do obyczajów i pełnienia moich obowiązków w zawodzie nauczycielskim odwołuję się do świadectw dołączonych.

Od roku 1816 bezpłatnie przez sześć lat pełniłem obowiązki sekretarza teatru narodowego, (mając sobie) w części powierzoną cenzurę literacką dzieł dramatycznych. Kilkanaście dzieł teatralnych przez siebie tłómaczonych lub ułożonych oddałem do repertuaru sceny narodowej. W r. 1820 »Tow. prz. nauk« wezwało (mię) na członka przybranego, a w r. 1822 na czynnego. Towarzystwu muzyki kościelnej złożyłem przełożoną przez siebie część teoretyczną dzieła Forkla o muzyce, której dla braku funduszu dotąd Towarzystwo nie drukuje. Do dzieła I. Elsnera (O prozodyi języka polskiego) część praktyczną... ułożyłem do kajetów nauki muzyki w konserwatoryum, równie pieśni do muzyki po kościołach używane. Od roku 1819 wspólnie z Bentkowskim a od r. 1821 wspólnie z Skrodzkim i Skarbkiem prowadziłem redakcyę Pamiętnika Warszawskiego. W roku bieżącym otrzymałem od Komis. Rząd. zachęcenie do wykończenia projektowanego wydania przepisów i wzorów wymowy dla szkół. Wydałem »Dziewicę Orleańską«.

Lubo głównem mojem zatrudnieniem jest Historya Literatury polskiej, podałem jednak do druku: Dwa

tomy poezyj, Templaryusze, Abufar, Rozprawa o pismach klasycznych i romantycznych, Myśli o dążeniu polskiej literatury, O satyrze, O elegii, O wpływie nauk na rząd... rozprawa z Herdera, rozprawę Garwego, Poemat Walter Szkota: Ostatni bard, prócz listów o polskiej literaturze i innych pism w Pamiętnikach i Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

30. sierpnia 1823.

K. Brodziński

Uwaga. Już po wydrukowaniu wstępu do *Wspomnień Brodzińskiego* przekonałem się — dzięki uprzejmej wskazówce dra Bronisława Gubrynowicza — że wydana przez Arabażina urzędowa autobiografia Brodzińskiego była już raz przedtem drukowana, a to mianowicie przez Wojcickiego w jego *Cmentarzu Powązkowskim* (tom II, str. 139 do 141), z okazyi życiorysu księdza Kajetana Kamińskiego, prowincyała Pijarów polskich. Wojcicki nie mówi, z jakiego powodu była napisana, a tekst przez niego podany nie jest zupełnie identyczny z niniejszym. Tak np. przy wzmiance o Dziewicy orleańskiej dodano tam, że przełożona była przez brata Kazimierza Brodzińskiego, przy tytułach tragedyj: Templaryusze i Abufar dodano nazwiska ich autorów (Raynouard i Ducis), a po słowach: »Rozprawę Garwego« wymieniony jest jej tytuł: O opinii publicznej. Są i inne mniejszej wagi różnice. *(Przypisek wydawcy).*

TREŚĆ.

Strona

Od wydawcy 5

Wspomnienia mojej młodości 17

Urywki z dziennika Kazimierza Brodzińskiego z r. 1813 67

Urzędowa autobiografia Kazimierza Brodzińskiego . . 83

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

wydała i poleca następujące dzieła:

Zygmunt Sarnecki. **Historya Literatury Francuskiej** ułożona podług najświeższych źródeł i opracowań obcych.

Dzieło to, zapełniające dotkliwą w literaturze naszej lukę, jest starannie ułożonym przewodnikiem, którego celem wskazanie drogi, wiodącej do poznania bogactw piśmiennych narodu, przodującego cywilizacyi europejskiej. Do końca wieku XVI trzymał się autor planu znakomitego autora René Doumic'a, profesora paryskiego Collège Stanislas, którego prodręcznik historyi literatury francuskiej należy do najlepiej ułożonych. — Od wieku XVII począwszy, jest dzieło więcej oryginalnem, a opartem na tle najnowszych badań współczesnych. Tu i ówdzie zamieszczone przekłady są pióra najlepszych naszych tłómaczy. Historya literatury francuskiej doprowadzona jest do czasów ostatnich, a dokładny rejestr ułatwia bardzo odszukanie każdego autora.

Cena tomu o 480 stronnicach złr. **3·—**, w starannej oprawie złr. **3.50**.

Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników: piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych przez *Ks. Dra Józefa Bilczewskiego,* arcybiskupa lwowskiego.

Wydanie luksusowe w wielkim formacie, str. 328 z **47 rycinami** i tablicą w heliograwurze. Dzieło odznaczone nagrodą Akademii Umiejętności. Cena złr. **5·—**, w starannej oprawie złr. **6·—**.

Pierwsza w tym rodzaju praca, nietylko w literaturze naszej lecz i ogólnoeuropejskiej, dokonana na podstawie kilkuletnich badań w podziemiach katakumb rzymskich. — Ryciny są wykonane wiernie i starannie, a załączona w heliograwurze tablica jest jedyna kopią słynnego fresku w kaplicy św. Pryscylii.

Dostojewski Teodor. **Wspomnienia z martwego domu.** Przełożył i wstępem zaopatrzył Dr. Józef Tretiak, prof. Uniw. Jag., z portretem autora, złr. **1·60.**

Książka ta jest kartą z dziejów rosyjskiego i polskiego społeczeństwa ze środka bieżącego stulecia. Sam autor, skazany w młodości na 4-letnią katorgę w ostrogu omskim, przedstawił w tych „Wspomnieniach" obraz mąk i katuszy skazańców i przestępców różnego rodzaju.

Dunajewskiego Juliana Mowy w Sejmie krajowym i w Radzie państwa, z przedmową Dra P. Górskiego.

Obszerne 2 tomy z portretem autora. Cena złr. **8·—**, na papierze lepszym złr. **10·—**

Ktokolwiek będzie się zajmował historyą Galicyi oraz historyą reprezentacyi polskiej w stolicy państwa i w Sejmie, ten znajdzie w mowach Dunajewskiego najsilniejszy wyraz, myśl przewodnią polityki kraju i jego przedstawicieli. Przebija się w nich w każdym niemal wierszu talent pierwszorzędnego parlamentarzysty.

Główny skład tych dzieł

w Warszawie w Księgarni Gebethnera i Wolffa

A Nr 002479

Cena

zł 20 gr

DK - 28 d
1.54
Wzór Jednoraz. CWD, W-wa. 15973/K
2041 - Łak - 25.11.53 - 3000 bl. à 100 k.

3 2044 051 066 249

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.

WIDENER

MAR 15 2000

BOOK DUE

CANCELLED